

Opłata pocztowa miesięczna 1000 zł

Wies

TODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok VI

Łódź, 6 marca 1949 r.

Nr 10 (189)

Kazimierz Piwarski

KRYZYS FRANCUSKI

Jacques Duclos, jeden z przywódców komunistów francuskich, napisał w numerze styczniowym miesięcznika „Démocratie Nouvelle”: „Imperialiści amerykańscy pragną trzymać nasz kraj silną ręką. Chcą mieć do swej dyspozycji rządy uległe, gotowe do wykonania ich dyrektyw. A poczucie klasowe bierze — u ludzi kierujących Francją — tak dalece górę nad poczuciem narodowym, że ich pierwszą troską jest okazywanie swego oddania i wierności dla państw spoza Atlantyku”.

Taka jest sytuacja we Francji w kilka lat po wyzwoleniu, po bohaterskiej epopei Ruchu Oporu, w której największą rolę odegrali komuniści, przodujący w walce o wolność Francji i o demokrację. Taka sytuacja mogła się wytworzyć z chwilą, kiedy komunistów odsunęto od rządów — na życzenie Departamentu Stanu USA. Stało się to, rzekłoby, wbrew woli poważnej części narodu francuskiego — skoro przy wyborach do 30 proc. głosów padało na listy komunistyczne, wbrew woli znacznej większości klasy robotniczej Francji — skoro 3/4 tejże klasy znajdują się w szeregach partii komunistycznej.

Było to możliwe jednak jako następstwo wyrażonej akcji, jaką podjęła przeciw komunistom reakcja francuska, grupująca się około swego „męża opatrnościowego” de Gaulle’a, oraz w następstwie zdrady sprawy demokracji i niezależności Francji, jakiej dopuściła się „trzecia siła”: prawicowi socjaliści spod znaku Leona Bluma (SFIO) oraz chrześcijańska demokracja (MRP).

W czasie wojny postać de Gaulle’a stała się w oczach wielu Francuzów symbolem idei walki niezłomnej z najeźdźcami hitlerowskimi. De Gaulle pozował wówczas na generała republikańskiego, zapowiadał odbudowę niepodległej, demokratycznej Francji — a równocześnie przygotowywał sobie teren pod przyszłą dyktaturę. Dobrze przejrzał jego istotne plany F. D. Roosevelt, który mówił swemu synowi Elliotowi: „De Gaulle ma zamiar wprowadzić we Francję rząd jedynowładczy. Nie mogę sobie wyobrazić człowieka, który by budził we mnie większą nieufność”. W chwili jednak, kiedy de Gaulle stanął (w sierpniu 1944 r.) na ziemi wyzwolonej Francji, nie odkrywał jeszcze zrazu swych kart, udawał gotowość do współpracy z francuską demokracją. Nie było poważniejszych sprzeciwów, choć generał dość bezceremonialnie narzucił się na szefa Rządu Tymczasowego. Stopniowo jednak staje się widoczne, że celem jego jest usunięcie od wpływów Krajowej Rady Oporu, w której czynniki demokratyczne mają przewagę, że lekceważy opinię publiczną, że nie chodzi mu wcale o odbudowę demokracji, lecz że planuje wprowadzenie systemu prezydenckiego (przy czym sam myśli o ujęciu najwyższej władzy w państwie), że stara się odwrócić wybory powszechne do Konstytuanta. Kiedy zaś w końcu doszło do wyborów, które dały największą liczbę mandatów komunistom a nieco mniejszą partiom MRP i SFIO, staje na czele rządu jednostki, w skład którego weszli przedstawiciele tychże trzech stronnictw. Należy dodać, iż komuniści wykazali podówczas bardzo dużo dobrej woli, rezygnując — wobec oporu de Gaulle’a — z kluczowych ministerstw, byleby tylko nie przedłużać kryzysu politycznego i skierować wszystkie wysiłki narodu do pracy nad dziełem odbudowy; zadowolili się 5 tekami w gabinecie, podczas gdy socjaliści otrzymali 8 tek a MRP 5 tek. Szefem rządu został de Gaulle, ale rychło okazało się, że nie potrafi utrzymać się w roli premiera rządu parlamentarnego.

Popadłszy w spory tak ze Zgromadzeniem Narodowym (Konstytuantą) jak i członkami gabinetu, podał się do dymisji.

Oświadczył wówczas z patosem: „Moja rola jest skończona. Demokracja odrestaurowana, a życie Francji stało się prawie normalne. Nie jestem więcej potrzebny”. Jaki był w istocie bilans jego premiershipu? W ciągu 18 miesięcy swych rządów de Gaulle uczynił wszystko, aby w administracji i armii francuskiej wzmocnić wpływy reakcji a osłabić znaczenie

demokratycznych czynników Ruchu Oporu. Tolerował niesłychane marnotrawstwo grosza publicznego i nadużycia, popełniane w owym czasie przez różnych dygnitarzy wojskowych i cywilnych, pokrywane przez ministrów — gaullistów i socjalistów; fakty te zostały ostatnio ujawnione w sprawozdaniu Izby Kontroli za okres od r. 1944 do r. 1946. Uchylił się od przeprowadzenia reform gospodarczych i społecznych, jakich domagały się postępowe koła społeczeństwa. Następnie odszedł, pozostawiając Francję w chaosie



Maurice Thorez

Wrogom ludu!

Nieprzyjaciele ludu, sądząc, że mogą nas postawić w kłopotliwej sytuacji, zadają następujące pytanie:

— CO BYŚCIE ZROBILI W WYPADKU, GDYBY ARMIA CZERWONA OKUPOWAŁA PARYŻ?

OTO NASZA ODPOWIEŹ:

I. Związek Radziecki nigdy nie znajdował się i nie może się znaleźć w pozycji napastnika wobec jakiegokolwiek kraju. Z natury rzeczy kraj socjalizmu nie może prowadzić polityki agresywnej i wojennej, która jest właściwą mocarstwu imperialistycznym.

Armia radziecka, armia bohaterskich obrońców Stalingradu nie zaatakowała nigdy żadnego narodu. W walce z Niemcami hitlerowskimi odegrała ona chwalebna rolę oswobodzicielki narodów, zyskując sobie za to ich głębokie uznanie.

II. Stanowisko nasze opiera się na faktach, a nie na przypuszczeniach.

Obecnie fakty są następujące:

Czynna współpraca rządu francuskiego z agresywną polityką imperialistów anglosaskich, obecność zagranicznego sztabu generalnego w Fontainebleau, przekształcenie naszego kraju i francuskich terytoriów zamorskich w bazy agresji przeciwko ZSRR i krajom demokracji ludowej.

III. Wobec postawionego nam pytania oświadczamy wyraźnie, co następuje:

Gdyby wspólne wysiłki wszystkich Francuzów dbałych o wolność i pokój nie wystarczyły do tego, by wprowadzić nasz kraj z powrotem do obozu demokracji i pokoju, gdyby w konsekwencji naród nasz został wciągnięty wbrew swojej woli do wojny antyradzieckiej i gdyby w tych warunkach Armia Radziecka, broniąc sprawy narodów, sprawy socjalizmu, zmuszona była przepędzić agresorów aż do naszej ziemi — to czy pracujący lud francuski mógłby się inaczej zachować w stosunku do Armii Radzieckiej, niż pracujące ludy Polski, Rumunii, Czechosłowacji i innych krajów?

*) Maurice Thorez, Sekretarz Generalny Komunistycznej Partii Francji, wypowiedział się na plenum Komitetu Centralnego Partii w dniu 23 lutego br. za pokojem i współpracą ze Związkiem Radzieckim i krajami demokracji ludowej oraz przeciwko podżegaczom wojennym.

W NUMERZE

między innymi:

- J. Ozga — Michalski — Walczącym (wiersze)
- K. Sławiński — Listy rozstrzelanych
- J. Baculewski — Edukacja pozytywizmu
- J. Cios — Trzy metody muzykologii
- Krzysztof Sławiński — O niedomyślnych myślach (o Chopinie)
- T. Kulisiewicz — Z teczek „Szlembark” (drzeworyty)
- J. Bieniek — Służba Bejduli
- P. Czyżowa — Dwa filmy o emancypacji kobiet
- Cz. Wycech — Przemiany szkoły podstawowej
- E. Niziurski — Sympatie dla Ameryki
- A. Kowalska — O powieści odcinkowej
- E. Martuszecki — W raju gangsterów
- M. Koliba — Nowy zaciąg

gospodarczym, w trudnej sytuacji politycznej. To nieprawda, że uznawał swą rolę za skończoną: usunął się, gdyż postanowił w wyniosłym odosobnieniu czekać na swą „wielką chwilę”.

W ciągu r. 1946 system trójpartyjny przyniósł Francji szereg niezbędnych reform gospodarczo-społecznych, polepszenie ogólnej sytuacji ekonomicznej i wzmocnienie pozycji na zewnątrz. We wrześniu t. r. Zgromadzenie Narodowe uchwaliło konstytucję, kładącą fundamenty pod rozwój IV Republiki. Konstytucja była wyrazem kompromisu między partiami lewicy i centrum: nie stworzyła — jak tego pragnęły czynniki postępowe — właściwych ram dla ustroju demokracji ludowej, ale otwierała drogi dalszej demokratyzacji, które jednak zamknęła zdrada SFIO i reakcyjna polityka burżuazji. W toku przygotowań do konstytucji de Gaulle uznał, że znowuż jest Francji „potrzebny”. W głośnym swym przemówieniu w Bayeux wypowiedział się przeciwko projektowi konstytucji, przedstawionemu przez lewicę. W następnych wystąpieniach zajął stanowisko zdecydowanie negatywne również i wobec kompromisowego projektu konstytucji, za którym opowiedziała się większość Zgromadzenia Narodowego, który też uzyskał w plebiscycie aprobatę narodu.

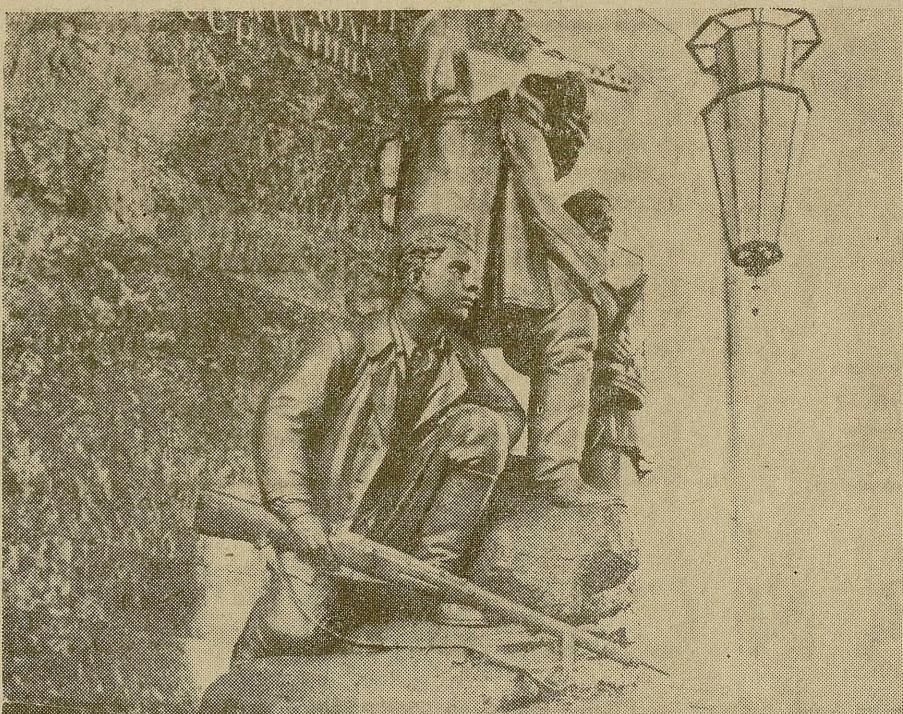
De Gaulle zrzucił maskę. Stał się od razu „mężem opatrnościowym” całej reakcji francuskiej. Powołał do życia partię RPF (Rassemblement du Peuple Français), w skład której weszły reakcyjne elementy wszelkiego autoramentu (ze stanowczą przewagą kapitalistów przemysłowych i finansjery) — nie wyłączając dawnych zwolenników reżimu Vichy. Kosci zostały rzucone. Reakcja francuska obnażyła swe oblicze, udzielała kredytu de Gaulle’owi celem dopomożenia mu do zdobycia władzy, obalenia republiki, podeptania demokracji.

Jedyną właściwą odpowiedzią na tę ofensywę reakcji mogła być tylko mobilizacja sił republikańskich i demokratycznych. Cóż się jednak stało? Socjal-reformiści spod znaku Bluma, którzy tracili oparcie w klasie robotniczej i stawali się coraz więcej partią mieszczańską, popelnili jawną zdradę wobec klasy robotniczej, wobec demokracji, wobec narodu francuskiego. W rządzie socjalisty Ramadiera zasiadało jeszcze w r. 1947 pięciu komunistów. Na polecenie amerykańskiego Departamentu Stanu zostali oni z rządu usunięci! Socjal-reformiści poszli na koncepcję „trzeciej siły” tj. na montowanie wspólnego frontu z MRP oraz bankrutami politycznymi, winowajcami upadku III Republiki, teraz jednak — wobec otwierającej się koniunktury — na nowo wracającymi na widownię życia politycznego radykałami. Zadaniem owej „trzeciej siły” miała być rzekomo walka na dwa fronty, a więc tak z gaullistami jak i komunistami. W istocie „trzecia siła” stała się narzędziem w ręku reakcji francuskiej oraz imperialistów amerykańskich. W planach monopolistów i imperialistów wyznaczano jej rolę ściśle określoną: chodziło o rozbięcie frontu demokratycznego we Francji i o przygotowanie terenu dla objęcia władzy przez de Gaulle’a.

Niebawem już rozwój sytuacji wykazał jasno, że „trzecia siła” jest w istocie zupełnie bezsilna. Rządy socjalisty Ramadiera, chadeka Schumana, „radykałów” A. Marie czy H. Queille’a spowodowały wzrost chaosu wewnętrznego, znaczne pogorszenie sytuacji gospodarczej, uzależnienie polityczno-gospodarcze od USA (w ramach „planu Marshalla”), faktyczną utratę suwerenności, upadek znaczenia Francji na forum międzynarodowym, narzucenie Francji rezygnacji z odszkodowań wojennych

(ciąg dalszy na str. 3)

295360



Metro moskiewskie. Fragment pomnika bliskoruskich partyzantów. (Braz).

Józef Ozga Michalski

NA LENINGRADZKIM MOŚCIE*)

Stoją żołnierze na placu,
stoją spiżowi na murze,
ramiona na temblaku,
oczy na śnieżnej chmurze.
W powietrzu wisi burza,
Newa od morza płynie,
huczą fabryczne podwórza
pieśń o Leninie.
Dalecy, bliscy i krewni,
zmarli i żywi w tę noc
kuli żelazo w odlewni
w stalowy wojenny głos.
Ten chór opuścił scenę;
w muzeum leningradzkim
armaty drzemią
na betonowej posadzce.
Samolot, który stracił
sto dwadzieścia maszyn niemieckich
wisi u stropu
jak orzeł w klatce.
Czołgi zbryzgane krwią
ludzi, którzy się bili
jak wielbłądy zgarbione śpią
snem zamartwych w pustyni.
— A w kołchozie, w fabryce, w świetlicy,
w pionierskim domu i w szkole
słychać tętent konnicy;
kawaleria traktorzystów — w pole!
Ach! Ta ciężka husaria nasza —

to nie bitwa pod Cecora, Kircholmem
tu się leziesz zamiast pałasza
nosi przed marszałkiem polnym.
— A widownia w leningradzkim teatrze?
O! ta patrzy za Pireneje;
młodzi marynarze klaszczą,
aż kurtyna, jak żagiel się chwieje.
Jakaż dziwną muzyką dzwoni
rewolucji pieśń u drzwi poety —
tętent żelaznych koni
łan pszenicy ciągnie do mety.
A w takim marszu i biegu,
co dobre i piękne żyje,
spod wody, lodu i śniegu
Pikową Damę dobyłem.
Kiedy przez most przepływam
na lustrze czystego lodu
jej postać wydobywam
jak trębacz hejnał na rogu.
A wtedy uśmiechnięty
w zadymce śnieżnej po uszy
prostuje się zakłęty,
spiżowy żołnierz wśród burzy.
Wysuwa lewą nogę
do marszu na nowy most
o krok go nie ubiegłem,
o krok nie cofnął się on.

Leningrad 1948 listopad.

KAPITAN WOJNAR

Już bocian sfrunął ze stodoły
i dzień otwały skrzydła wrót,
klekocą w werble dwa anioły,
czerwone dzioby grają z nut
wojenną pobudkę drużynie,
która na sianie śpi
pod głową z karabinem
zardzewiałym od krwi.
W stajni zarząły konie,
i bocian wzbił się jak sokół
nad zielone lotniska błonie,
nad wysoką storczyka topól.
Wstawaj! Tej stodoły namiot
rozbijemy po bitwie do snu,
kiedy księżyc sierpem na dobranoc
tnie na odlew zboże na pniu.
Kapitan skoczył na boisko;
zapole zaroilo się;
snopy we żniwa,
na ściernisku,
włazane w pasie,
głowy w górę;
stoją żołnierze
na klepisku,
niejeden ziewa,
(gębę drze)
Co to się dzieje? Gospodyni
nie może wytrzymać z ciekawości
wojsko w stodole,
broń we skrzyni,
a bocian krąży i klekocze.
† kogut ten domów orzeł

napuszył się na gospodarstwie;
herb malowany piórem w zbożu
pokrzyżowany z całym plectwem.
Wreszcie wylegli na podwórze
ci ludzie nawpół uzbrojeni,
co w dzień pogodny szli na burzę,
aby ukosić snop promieni.
Rzekł im kapitan,
co pamiętam,
i słowa te powtarzam dziś:
— „Tu jest podwórze, a tam cmentarz,
na którym już niejeden śpi.
Kogut, którego tu widzicie
jest tam wycięty prosto z blachy,
choćby zapiał — nie usłyszycie,
będzie martwy stał na dachu.
Dwór co stoi, pałac pański
nie pozostanie już pałacem
zdmuchniemy ich mydlane bańki
w powietrzu pełnym chłopskiej sady”.
Tak mówił kapitan Wojnar
do dzielnych chłopców bechowców,
kiedy wsiadali w łódź podwodną,
aby szturmować hitlerowców.
— Może ten bociek,
co ich wywoływał w pole
żaby w Nilu łowi —
A może nad Arabią,
nad Palestyną,
klekocze
jak nam kiedyś,
gdyśmy zrywali okowy.
Kapitan pod murawą śpi.
Nie należy do zmarłych cieni.
To, o co się bił
wykonano na powierzchni ziemi.

*) Wiersze z tomu poezji „O człowieku, czołgu i mieczu”, który ukaże się w kwietniu b. r. nakładem „Wydawnictwa Ludowego”.

Wiślica 1948, grudzień

Krzysztof Ślawiński

LISTY ROZSTRZELANYCH*)

Są to listy uczestników Francuskiego Ruchu Oporu — przeważnie komunistów — które zdołali napisać do swych rodzin, ojców, matek, żon i dzieci na krótko przed rozstrzelaniem. Pisane są prostym stylem, często urywany, nieskładny językiem. Są jednak bardziej wymowne niż bohaterski patos. To są stany ludzi, którzy oddali życie za niezależność swej Ojczyzny. Padli w walce z wrogiem, po to, by Francja była wolną.

Posłuchajcie co pisali:
„Pragnąlbym, aby moi przyjaciele wiedzieli, że zostałem wierny ideałom, jakim służyłem przez całe życie. Niechaj moi żołnierze wiedzą, że potrafię umrzeć, aby żyła Francja...”

Tej nocy myślałem wiele o moim drogim przyjacielu Paule Vaillant-Couturier. Miał słuszną mówiąc, że komunizm jest młodzieńcą świata, że toruje drogę rozśpiewanemu Jutru.

I ja będę wśród tych, którzy torują drogę „rozśpiewanemu Jutru” (z listu Gabriela Péri).

Czyż trzeba dobitniejszego dowodu patriotyzmu i miłości Ojczyzny? Czyż można w gorętszych i bardziej prostych słowach wyrazić wiarę w wielką przyszłość swego narodu? Wówczas, gdy ginęli ci najlepsi synowie ziemi francuskiej — Francja nie istniała. Kto przyczynił się do jej klęski? Ci, którzy wtrącili komunistów w podziemie dlatego tylko, że mówili prawdę i pragnęli ocalenia Francji. Ci którzy... Czyż trzeba przypominać historię intryg i historii, albo ściślej historii, wielu kapitulacji — przed hitlerowskim wrogiem — i dzieje tego tragicznego rozbrojenia moralnego, które w konsekwencji przyniosło okupację? A potem — już wobec wroga — ci rzekomi „patrioci” zmienili się w zwykłych miészczuchów, Czekali wybawienia z zewnątrz.

zany walką i śmiercią. A co jest bardziej przekonujące: czyn i śmierć — czy słowa bez pokrycia, które deklamują ministrowie francuskiej burżuazji?

„Moje ostatnie myśli są z Wami, Towarzysze walki, z Wami, którzy należycie do naszej wielkiej Partii, ze wszystkimi Francuzami, którzy kochają Ojczyznę, z bohaterskimi bojownikami Armii Czerwonej i z jej wojskiem, wielkim Stalinem. Umieram z wiarą i przekonaniem, że Francja zostanie wyzwolona”.

Te słowa pisane na kilka godzin przed śmiercią świadczą o głębokim, nierozdzielalnym, prawdziwie ludzkim przywiązaniu do narodu, klasy i partii, do ich cierpień i walk, do codziennych bólów i niestęmiłonej nadziei w lepszą przyszłość.

„Kochani Towarzysze, bądźcie spokojni, spełniłiśmy nasz obowiązek, nie żałujemy niczego. Byliśmy dobrymi żołnierzami Partii i Francji. Niech nasz przykład nie idzie na marne. Niech żyje Francja! Niech nasza Partia zdobędzie sobie należne miejsce w lepszym ustroju, w którym lud pracujący będzie mógł wyrazić swą wolę” (z listu Józefa Delobel).

Czy to nie jest patriotyzm? A może „patriotyzmem” ma być to, co włożył w usta swego bahatera Malraux, pisarz i szef propagandy de Gaulle: „Sens życia. Całkowite posiadanie samego siebie. Bezgraniczne. Absolutne. Wyłączne (La seule). Wiedzieć. Nie szukać, szukać ciągle idei, zadań. Po godzinie nie czuję nic z tego, co ciążyło na mnie. Czy rozumiecie mnie? Nie”. To jest bełkot człowieka, który nie wie po co żyje. Roger Garaudy zatytułował zbiór esejów o francuskiej literaturze schyłkowej „Une Litterature de fossoyeurs” (Literatura grabarzy).

„Grabarze” nie mają nic wspólnego z patriotyzmem!



Pétain wita proroka „nowego porządku”...

Albo wspólnie z Niemcami robili „nowy ład”. Vichy także głosiło „patriotyzm” — jakby na pośmiewisko historii i Francji. Ale historia jest bardziej ironiczna, a w swej ironii zarazem bardziej prawdziwa — niż się wydaje. Rzuciła prawdę w twarz kłamcom. Czyż to nie komuniści byli partią, która swój patriotyzm przypłaciła 70 tysiącami rozstrzelanych? Czyż to nie oni byli w pierwszych szeregach bojowników o wolność i niezależność Francji? Czyż nie oni kierowali ruchem podziemnym?

Kto temu zaprzeczy? U nich patriotyzm obawiał się nie tylko w słowach. Został ok-

*) „Listy rozstrzelanych” — Książka, 1949.

Jeden z rozstrzelanych, Andrzej Jouanneau, pisał do swej rodziny: „Najokropniejsze dla mnie jest to, że aresztowali mnie Francuzi”. Kto go aresztował? Vichy. Dziś kollaboracjonistów wypuszcza się na wolność — przywraca się im prawa, które stracili przez zdradę Francji.

Dziś René Mayer poddaje w parlamencie w wątpliwość narodowy charakter partii komunistycznej — z tego tylko względu, że Maurice Thorez opowiedział się jasno i zdecydowanie za pokojem, demokracją i niezależnością Francji.

Czy Vichy należy do przeszłości? Czyż „grabarze” nie kopią Francji nowego grobu? Czyż nie chcą ponownie rozstrzelać rozstrzelanych? Z rąk grabarzy giną robotnicy.



Ich „nowy porządek”...

(Z dokumentów procesu norymberskiego)

Grabarze konfiskują filmy o walkach wolnościowych ludu francuskiego.

Grabarze konfiskują demokratyczną prasę. Grabarze współpracują w odbudowie imperializmu niemieckiego.

Grabarze zezwalają, by w Fontenaibleau osiadał sztab obcych mocarstw.

Grabarze tworzą amerykański „nowy ład”. Czy w imię tego ginęli najlepsi synowie Francji? Młody elew Wyższej Szkoły w Valenciennes, Felician Joly piszą przed śmiercią: „Do Wszystkich, którzy są mi drodzy! Pragnę szczęścia całej ludzkości. Powitajcie przyszłość z twarzą rozjaśnioną, promienną. Wy będziecie szczęśliwi, a ja będę kowalem Waszego szczęścia. Umieram młodo, bardzo młodo. Ale jest coś, co nie umiera — to moje marzenia. Nigdy nie wydawały mi się równie jasne, zawsze wspaniałe, równie bliskie, jak w tej chwili...”

Wkrótce nastąpi surowa zima, a po zimie piękna wiosna. A dla mnie śmierć wydaje się śmieszną, **przecież ja nie umieram**, przecież mnie nie zabiją, będę żył wiecznie. Moje imię dźwięczeć będzie po śmierci jak salwa armatnia, jak salut nadziei.

Umieram po to, aby Francja była wolna, silna i szczęśliwa.”

Czego chciał ten młody chłopiec? — i ci wszyscy rozstrzelani — 70.000 rozstrzelanych, którzy reprezentowali lud Francji? — By ich ojczyzna była wolna i niezależna. Dziś ministrowie francuskiej burżuazji uważają to marzenie za grzech. Czego jeszcze chcieli ci, których rozstrzelano? By ziemia francuska należała do francuskiego chłopca, a francuskie fabryki — do francuskiego robotnika. By pot, który ronią w czasie pracy — użyźniał tylko francuską ziemię, i chleb, który spożywają — był chlebem pokoju. To były (i są) marzenia wszystkich ludzi pracy, którzy swym wysiłkiem tworzą bogactwo i kulturę narodu.

Pożegnaj się wnet z tym króciutkim — pliszce Paweł Camphin — dwudziestoletnim życiem — po to, by dzieci Francji były wolne i szczęśliwe! Nie zdradziłem sprawy mejej Partii. Idę z uśmiechem na wargach, z pieśnią na ustach. Śmierć mnie nie przeraża.”

Dlatego, że chcieli szczęścia swego narodu, — chcą burżuazja i socjalzdracy dziś marzenia ich uznać za zdradę Francji. Kto? Zdradcy! Ci, którzy nie mogą już kupić sumieniem swego narodu (gdź jego sumieniem są komuniści) — kupczą jego dobrami

materialnymi i siłą roboczą ludu francuskiego.

„Ginę za moją Ojczyznę, za ideały, których nie zaparłem się nigdy, ginę przede wszystkim za Wasze przyszłe szczęście — pisał Andrzej Chassagne. Dlatego, że ginęli za życie innych, i lepsze i bardziej ludzkie, i bardziej radosne — mówią dziś, że ich ideały oznaczają zgubę Francji. Kto? Ci, którzy przynoszą Francji nędzę, bezrobocie, zastój gospodarczy.

Kto jest więc patriotą? Ci, którzy walczyli i walczą o szczęście narodu — czy ich oskarżyciele, którzy nie rozumieją, że sami są już dziś oskarżonymi. Oskarża ich: każdy „rozstrzelany”; naród, który nie zapomniał (jak oni) o swych najlepszych synach. Oskarża każdy ich własny czyn. „Lepiej umrzeć młodo za swoją Ojczyznę niż umrzeć na starość na skutek choroby, ale zdradziwszy swój kraj” (z listu Marcela François). Nie zrozumieli jeszcze tych prostych i niedwuznacznych słów, które zza grobu przesyła im jeden z „rozstrzelanych” — który nie zdradził. I to oskarżenie — przychodzące jakby zza grobu — ale wciąż żywe, jak wciąż żywa jest w narodzie pamięć bohaterów — nie przycichło.

„Jeśli udało mi się zachować zdolność myślenia bez wpadania w przygnębienie czy w chorobliwe podniecenie — pisał Piotr Rebière — to zawdzięczam to jedynie moim przekonaniom, pewności, że Partia Komunistyczna w duchu marksistowskim, rozwiniętym przez działalność Lenina i Stalina, zwycięży!”

Myślę ze współczuciem o tych, którym nie dana była bezwzględna wiara w naszą ideę, którzy zginęli nie mając przed sobą żadnych ideałów... Jakże musieli cierpieć...”

Tych słów burżuazja nie rozumie. Tym gorzej dla niej. Nie rozumie, że ta pewność zwycięstwa tkwi w moralności Partii, w sile proletariatu, którego ludzie ze śpiewem umieją umrzeć za wielką Sprawę i w biegu historii, która sprawia, że frazesy, o które walczą ministrowie burżuazji, straciły dawno swój sens społeczny — a wiara komunistów jest już dziś najgłębszą treścią przyszłego rozwoju ludzkości.

Wiara i pewność zwycięstwa „rozstrzelanych” jest niezłomna, jak niezłomna i nieśmiertelna jest sprawa socjalizmu.

Krzysztof Ślawiński

KRYZYS FRANCUSKI

(Dokończenie ze str. 1)

oraz z kontroli nad Zagłębiem Ruhry, zmuszenie jej do przyjęcia „protokołu londyńskiego” (1948), przewidującego odbudowę Europy Zachodniej z Niemcami jako ośrodkiem potęgi przemysłowej i militarnej. Bilans doprawdy katastrofalny. Wszelkie koncepcje amerykańskie Unii Zachodniej czy Paktu Atlantyckiego, których ostrze jest skierowane przeciwko ZSRR, opierają się na odbudowie imperializmu niemieckiego: bazę tego imperializmu mają stanowić montowane przez Anglosasów Niemcy Zachodnie: Bizonia czy właściwie Trizonia — wobec nieuchronnego połączenia strefy francuskiej z amerykańską i angielską. Nie ulega kwestii, że odrodzenie imperializmu niemieckiego przedstawiać będzie dla Francji śmiertelne niebezpieczeństwo. Jasne jest również, że imperializm amerykański stawia dzisiaj na Niemcy a nie na Francję, której udziela się w tych kołach jedynie dobrej rady: zaleca się porozumienie francusko-niemieckie, t. zn. w praktyce zdanie Francji na łaskę i niełaskę Niemiec imperialistycznych, wychowanych w duchu rewansu, montowanych przy wydatnej pomocy i pod patronatem USA. Rozzuchowalona prasa reakcyjna Bizonii nie kępuje się bynajmniej w ocenie sytuacji i stawia sprawę jasno: „Jeżeli Francja nie pogodzi się z Niemcami, będzie musiała walczyć nie tylko ze swymi wrogami wewnętrznymi, lecz także z Niemcami, Anglią i Stanami Zjednoczonymi”. Trzeba przyznać, że podkarmieni przez Anglosasów reakcyjniści niemieccy odzyskali w pełni swój dawny tupet! Kiedy zaś politykę „trzeciej siły” próbują zgłaszać w Londynie czy w Waszyngtonie nieśmiało protesty, dostają mentorskie pouczenia: Francuzi powinni zrozumieć, iż nie ma czasu wdrażać się w drobiazgowo rozpatrywanie postulatów francuskich, skoro chodzi o coś znacznie ważniejszego — o problem „obrony Zachodu”, czyli o zorganizowanie imperialistycznego frontu antyradzieckiego!

Polityka „trzeciej siły” prowadzi do zupełnego upadku znaczenia i prestiżu Francji w Europie, pozbawia ją możliwości skutecznego zabezpieczenia się przed ponowną agresją niemiecką. Taki jest rezultat uległości kół rządowych francuskich wobec dyrektyw amerykańskich. Trudno nawet zresztą oczekiwać od polityków „trzeciej siły”, aby mogli skutecznie przeciwstawić się dyktandum swych amerykańskich mocodawców, skoro nie mają za sobą takiego atutu jak poparcie własnego społeczeństwa. Coraz bardziej aktualne staje się pytanie: kogo właściwie reprezentuje ta „trzecia siła”? Wiadomo, że traci ona grunt pod nogami w społeczeństwie francuskim. Zanik wpływów SFIO jest już zjawiskiem chronicznym. MRP znowuż, przeżarta od wewnątrz agitacją gaullistowską, nie może się otrząsnąć z ciężkiej klęski, jakiej doznała w wyborach samorządowych w roku 1947, tracąc wówczas mnóstwo głosów na rzecz de Gaulle’a. Nie ulega natomiast kwestii, że obóz de Gaulle’a wzmacnia swe pozycje wyzyskując rosnący we Francji chaos, wyciągając dla siebie korzyści z haniebnej walki, prowadzonej przez rządzące koła francuskie z komunistami. W wspomnianych wyborach samorządowych w r. 1947 SFIO, MRP i radykał, tworząc sojusz wyborczy w obawie przed komunizmem, pomogli pośrednio de Gaulle’owi do sukcesu. Nie koniec na tym. Kiedy w jesieni r. 1948 miały się odbyć wybory do drugiej izby parlamentarnej, Rady Republiki, zapakowany gaullista Giacobbi wraz z blumowcem J. Mochem spreparowali ordynację wyborczą, której ostrze zwrócone było wyraźnie przeciw komunistom, z czym się zresztą nie kryła stojąca na usługach rzą-

du prasa francuska; tak np. usunięto bezpośrednio i proporcjonalność, zastosowano odpowiednią geografii wyborczą, krywdzącą okręgi robotnicze. W rezultacie gaullistowska RPF odniosła poważny sukces wyborczy, dający jej przewagę w Radzie Republiki, co pozwalała przejąć francuskiej wygrać drugą izbę parlamentarną przeciwko Zgromadzeniu Narodowemu. Oto jak wygląda w praktyce walka „trzeciej siły” na dwa fronty. Zwalczając komunizm, wspomaga „trzecia siła” jedynie i wyłącznie obóz de Gaulle’a.

Rząd „trzeciej siły” prowadzi politykę antydemokratyczną i antyludową. Przy takim reżimie syta jest burżuazja francuska,

głodni zaś są — robotnicy. Dewaluacja franka, wzrost cen — przy równoczesnym zablokowaniu płac robotniczych, wzrost bezrobocia — jako „dobrodziejstwo” planu Marshalla: to wszystko doprowadza proletariatu francuskiego do granic nędzy. W porównaniu z r. 1938 stopa życiowa robotnika obniżyła się o prawie 50 proc. Natomiast zyski kapitalistów znacznie wzrosły. Zrozumiałe więc, że klasa robotnicza ucieka się do samoobrony, do strajków. W ogromnej swej większości zajmuje postawę jednolitą. Nie powiedła się podjęta przez marshallowskich socjalistów robota rozbijacka na terenie związków zawodowych, prowadzona przy pomocy kontrolowa-

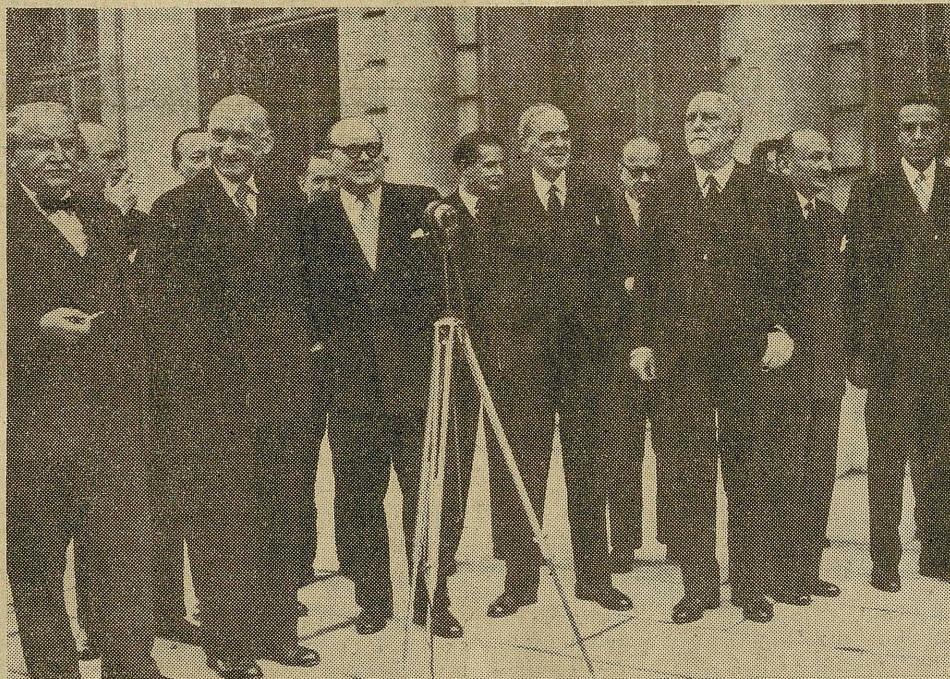
nych przez rząd związków jak „Force Ouvriere”. Imponującą manifestacją spistości klasy robotniczej był niedawno długotrwały strajk 350.000 górników francuskich. Rząd „trzeciej siły” zastosował środki represji, którymi szafował nader hojnie socjalistyczny minister J. Moch, zwany „żandarmem klasy robotniczej”. Nastąpiły liczne aresztowania, zapelnily się więzienia, robotników-obcokrajowców pozbawiano prawa pobytu we Francji; na robotników skierowano karabiny maszynowe, czołgi, gazy tłumiące itd., postawiono na nogi przeciwko robotnikom policję i wojsko; strzelano do robotników, strzelano do kombatanów, demonstrujących spokojnie w Paryżu. Równocześnie prasa rządowa i radio prowadziły kampanię oszczerczą przeciwko partii komunistycznej, biorącej w obronę słuszne żądania klasy robotniczej. Rząd „trzeciej siły” zyskał sobie za to pełne uznanie kół kapitalistyczno-reakcyjnych.

Któż na tym może naprawdę zyskać? Któż by jak nie „maż opatrnościowy” reakcji francuskiej — de Gaulle? Ma za sobą poparcie kapitalistów, przemysłowców, finansjery, burżuazji, popierają go w pełni te koła, które ongiś stawiały na Petaina i wolały hańbę Francji niż reformy społeczne i udział komunistów w rządach. Na de Gaulle’a stawia owych 200 wielokapitalistycznych rodzin francuskich, które zaangażowały swe pieniądze poprzednio w krajach, w których zwyciężyła demokracja ludowa i nie mogą przeboleć, że kraje te przestały być już terenem wyzysku dla obcego kapitału. Generał de Gaulle i cała jego klientela nienawidzą ZSRR i demokracji ludowej, natomiast godzą się na plany odbudowy potencjału przemysłu wojennego Niemiec, stoją w obozie amerykańskich podżegaczy wojennych, którym się marzy rozpętanie nowej wojny światowej. „Trzecia siła” pracuje dla generała, pracuje dla popierających go imperialistów amerykańskich. W Departamencie Stanu i na Wall-Street zdają sobie sprawę z tego, że — wobec rosnącego wzburzenia postępowych mas społeczeństwa francuskiego — eksperymenty z rządami „trzeciej siły”, nie posiadającej oparcia w narodzie, nie długo już będzie można uprawiać. Wiele też oznak wskazuje na to, że etap przejściowy dobiega końca. „Trzecia siła” wykonała już swą robotę, doprowadziła do chaosu wewnętrznego i ogromnego osłabienia pozycji Francji na zewnątrz. „Trzecia siła” stanie się niebawem niepotrzebną, nawet krepującą. Czekają ją los zasłużony. Zostanie zmieciona z powierzchni życia politycznego Francji. Protektorzy bowiem de Gaulle’a zechcą zapewne ostatecznie wyjaśnić sytuację i postawić na czele Francji „zbawcę ojczyzny”, szefa jawnej partii amerykańskiej.

Ale nie takiego „zbawcy” potrzebuje Francja. Z ciężkiego kryzysu może ją wydobyc, może ją ocalić jedynie lud francuski, pod przewodnictwem klasy robotniczej. Partia komunistyczna wskazała drogę, wzywając do obrony republiki, niepodległości i suwerenności narodowej, do obrony pokoju, do przeciwstawienia się faszystom, do stworzenia rządu Unii Demokratycznej, w którym jest gotowa wziąć udział z pełną odpowiedzialnością. Wiadomo, że taką koncepcję zwalcza i zwalczać będzie reakcja francuska i jej mocodawcy, imperialiści amerykańscy. Ale decydującą będzie wola ludu. W ostatniej instancji masy ludowe francuskie rozstrzygną, jaka droga jest właściwa dla przyszłości narodu, dla wolności, dla sprawy pokoju!

Kazimierz Piwarski

W TYM SAMYM PARYŻU



15 lutego b. r. odbyła się w Paryżu konferencja ministrów spraw zagranicznych państw wchodzących w skład tzw. „O.E.C.E.” (Organizacji Europejskiej Kooperacji Ekonomicznej). Od lewej: Onden (Szwecja), Robert Schuman (Francja), Spaak (Belgia), Stafford Cripps (Anglia), książę Sforza (Włochy), Sadhk (Turcja) i Harriman (USA).



Manifestacja młodzieży francuskiej za „Pokojem dla Wietnamu!”

Jan Baculewski

Edukacja sentymentalna... pozytywizmu



August Comte

Wielki pozytywista i wielki fantasta dziewiętnastowieczny, August Comte¹⁾, nie miał wielkiego uznania dla sztuki. Rozumiał jednak jej funkcję społeczną. Natomiast, jako twórca systemu naukowego, wysoko cenił wiedzę oczywiście pozytywną. Postulował reformę nauczania, której podstawy winna stanowić klasyfikacja i hierarchia nauk pozytywnych. Początkowy kurs miał obejmować astronomię i trwać dwa lata. Wydawało mu się to szczególnie niezbędne w wychowaniu dzieci. Poza tym za naturalnych rzeczników swojej filozofii uważał kobiety i proletariuszy. Związek proletariuszy z nauką pozytywną był dlatego zrozumiały, „gdyż cechująca ich abnegacja w sprawach materialnych zbliża ich do klasy prawdziwych myślicieli; pochodzi to stąd, iż nie mają oni kłopotów, związanych z użytkowaniem kapitałów, a poza tym ze względu na charakter naszej cywilizacji nie mogą, oczywiście, spodziewać się, ani nawet pragnąć, poważniejszego udziału we właściwej władzy politycznej²⁾”. Co innego władza moralna. Comte jest przekonany, że lud nie może wyrzec się stałego udziału w jej sprawowaniu. Winna być ona dostępna wszystkim, gdyż nie powstają z niej żadne szkody dla ładu społecznego, a przeciwnie, wynikają korzyści; upoważnia ona każdego „by w imię wspólnej podstawowej doktryny w odpowiedni sposób przypominając najwyższemu nawet potentatowi ich różne istotne obowiązki³⁾”. Comte chciałby uchronić lud od zamętu walk politycznych, które podważają fundamenty porządku gospodarczego. Wydaje mu się także, iż patronat możnych tego świata jest najlepszą gwarancją rozwoju umysłowego proletariatu. Toteż radzi, by proletariusze z całym spokojem, wyzbyci chęci zysku i ambicji, oddali się studiom teoretycznym i czerpali z nich, jak ze źródła pięknych, miłą rozrywkę po codziennych trudach. Albowiem źródło reform społecznych tkwi w reorganizacji życia duchowego; zaspokojenie wszelkich potrzeb ludu zależy bardziej od poglądów i obyczajów, niż od podziału władzy i instytucji.

Tak wyrażał się Comteowski program proletariatu. Był to w gruncie rzeczy program kapitalistów francuskich. Z ich potrzeb i rozwoju ówczesnych stosunków produkcji wyrosła filozofia cywilizacji przemysłowej, owa liberalna i od początku swego antyproletariacka doktryna pozytywna. Rzeczona ona hasła rozwoju wiedzy, ale w sposób utylitarystyczny, tylko w zastosowaniu do rozwoju techniki przemysłowej; stąd sam program wychowania jak i udział proletariatu w wiedzy pozytywnej ma charakter czysto deklaracyjny w sformułowaniu, w tendencjach społecznych zaś jest programem niewoli, w jaką kapitaliści zakuwają proletariatu nawet przez hasła wiedzy eksploatowanej na użytek gospodarki kapitalistycznej i niepowiązanej z życiem społecznym, przez program oświaty obcy potrzebom i dążeniom wyzwoleniczym proletariatu, przez system polityczny wykluczający lud od władzy. Tendencje te były wspólne dla rozwoju kapitalizmu w różnych krajach; musiały również zaważyć na tym, co stało się u nas, u nas kapitalizmu polskiego jako pozytywistycznej hasła pracy u podstaw i pracy organizacyjnej.

Comte wydał ostatni, szósty tom swego „Kursu filozofii pozytywnej” w r. 1842. Cele miały ambitne. Chciał położyć kres „anarchii umysłowej”, będącej według niego głównym źródłem nieszczęść społecznych i politycznych. Filozofia pozytywna winna była „zagrozić drogę wszelkim rewolucjom przez wpro-

wadzenie pewnej liczby idei ogólnych, mających służyć za fundamenty dla powszechnej teorii porządku społecznego”. Mimo takie plany nie obce mu były trzeźwe refleksje, prawdziwe lucida interwalia wielkich umysłów: liczył bowiem tylko na 50 czytelników swoich tomów. I podobnie jak pewien wieszcz narodowy, za grobem widział swoje zwycięstwo. Nie przeszkadzało mu to jednak w sześć lat później wydrukować bardziej dostępne streszczenie swojej filozofii w „Discours sur l'esprit positif”. Streszczenie Comte'a pulsuje jakimś nieznanym „Kursowi filozofii” tonem polemicznym. Nie trudno tego dociec. Był to rok 1848. Rewolucja lutowa ukazała istotne oblicze proletariatu: nie tylko niszczącego utrwalający się porządek kapitału francuskiego, lecz sięgającego po władzę polityczną nad kapitałem. Rewolucja, jak wiadomo, załamała się. Na jej barykadach rozpadła się również filozofia pozytywna ze swoimi ideami hegemonii „potentatów” nad „kontemplacyjnym” proletariatem. Rewolucja ta kładzie przedział między dziejami kapitalizmu francuskiego a resztą Europy. Jednocześnie dzieli pozytywizm francuski jako ideologię mieszczaństwa w fazie przedrewolucyjnej od tego typu ideologii innych krajów, w których stosunki produkcji i walki społeczne kształtowały się w innych warunkach i powodowały odmienne systemy ideologiczne. Rewolucja lutowa i wszystkie rewolucje, które wstrząsnęły państwami zachodniej Europy, były echem wielkiego przewrotu ekonomicznego. Przewrót ten polegał na całkowitym przewrocie resztek przytłoczonych form manufaktur i ugruntowaniu wielkiego przemysłu. „Ta właśnie rewolucja przemysłowa — pisał Engels we wstępie do „Walki klasowych we Francji, 1848 — 1850” — wniosła dopiero wszędzie jasność do stosunków klasowych, usunęła mnóstwo pośrednich form, które były przeżytkiem epoki manufaktury, a we wschodniej Europie nawet rzemiosła cechowego, stworzyła prawdziwą burżuazję i prawdziwy wielkoprzemysłowy proletariatus i wysunęła je na pierwszy plan rozwoju społecznego”. Jest to charakterystyka stosunków europejskich z pierwszej połowy w. XIX. W Polsce stosunki klasowe były dalekie od tej jasności, ale i procesy kapitalizacji widoczne były u nas tylko w swoich groźnych konturach europejskich. Gdy pozytywści podnosili swój organicznikowski alarm, na Zachodzie już począł się tworzyć walec imperializmu. Historia nasza zna przyczyny zapóźnienia gospodarczego i potrafi je wyjaśnić. Charakterystyczne jest przecież zapóźnienie ideologiczne, wiedza o współczesnych procesach społecznych, walka obozów i samowiedza społeczna inteligencji organicznikowskiej. Inteligencja ta najprzeróżniejszej kondyty socjalnej postrzegała zasadniczy nurt, którym po okresie romantycznego zastoju począł płynąć życie społeczne. Ale nie dostrzegała, że ogarnia ono tylko bankierów, przemysłowców oraz klasy pośrednie i inteligencję. Wymowne, iż „Przegląd Tygodniowy”, bojowy organ warszawskich pozytywistów, usunął zupełnie z pola swoich obserwacji społecznych największy ośrodek robotniczy: Łódź. Sprawami robotniczymi pozytywści nie zaprzętały swoich głów. Podobnie sprawą chłopską. Ich program w tej sprawie był równie mętny, jak nastawiony na eksploatację wsi jako źródła sił roboczych i akomodację ich dla potrzeb rozwijającej się gospodarki kapitalistycznej. Czy znajduje to odbicie w programowym hasle pozytywistów: w pracy organicznej i pracy u podstaw?

Program tej pracy rozwinęła w Polsce dynamika rozwoju kapitalistycznego na wiele lat przed powstaniem styczniowym, sformułował go zaś w r. 1862 Józef Supiński w dwutomowym dziele „Szkoła polska gospodarstwa społecznego”. Supiński, uczestnik powstania listopadowego, przeżył kilkanaście lat za granicą w niepospolitym zamęcie umysłowym emigracji, wybrał jednak z sytuacji znacznie lepiej niż inni. Przebywał we Francji do r. 1844, większą część swego czasu spędził w Paryżu, gdzie pod koniec swego pobytu został dyrektorem przedziałni. Lata 1830—44 to nie tylko okres powstawania systemu filozofii Comte'a, ale czas przekształcania się kapitału francuskiego w formy wielokapitalistyczne. Supiński poznał nie tylko to, na którym tworzyła się baza rozwoju gospodarczego i stosunków produkcji, lecz poznał także system wiedzy, który rewolucjonizował świadomość społeczną poprzedniej fazy gospodarczej feudalizmu i ukazywał perspektywy rozwoju burżuazji z całym bagażem ideologii, formułującej prawa rozwoju i stabilizacji jej klasowego panowania.

Złoty los nie pozwolił mu przeżyć we Francji czasu rewolucji lutowej, co w ramach jego doświadczeń i wiedzy społecznej nie mogło pozostać bez wpływu na jasność myśli społecznej.

Zarówno doświadczenia jak i doktryny zachodnie znalazły dokładne odbicie w dziele Supińskiego. Krytyka pozytywistyczna uznała „Szkołę polską gospodarstwa społecznego” za biblię rodzimego liberalizmu. Piotr Chmielowski w kilkadziesiąt lat po ukazaniu się tej książki witał w Supińskim oryginalnego teoretyka filozofii pozytywnej, analogicznej do systemu Comte'a, lecz jak się Chmielowskiemu zdawało, wypracowanej niezależnie od niego. Zarówno jednak oryginalne walory dzieła jak i uznanie dla niego spotkały autora w roku 1865, kiedy kapitalizm polski

ruszył pełną parą na podbój kraju. Ale w kilka pierwszych lat po ukazaniu się książki było głucho o niej na całej polskiej ziemi, zarówno we Lwowie, gdzie się ukazała drukiem, jak w Krakowie, Warszawie, Poznaniu. Dopiero Franciszek Krupiński zaznajomił z nią czytelników w recenzji, podwójnie historycznej: zawiera ona pierwszą wzmiankę o Supińskim i pierwszą wprowadza w światek umysłowy Warszawy obłudnicę młodej prasy: filozofię pozytywną „coraz więcej zyskującą zwolenników”.

Zarówno czas niepowodzeń jak i sukcesów tej książki mają swoje przyczyny. Lata 50 i 60 stanowią w Polsce ledwie okres przejścia od manufaktury do przemysłu maszynowego. Jest to jednocześnie czas manifestacji patriotycznych i egzaltacji narodowych przed powstaniem. Ani więc względy polityczne, ani ekonomiczne nie mogły aktualizować książki, jawnie hołdującej zasadzie suwerenności gospodarczej nad polityczną i głoszącej hasła pracy, handlu, oszczędności nauki i oświaty, jako nowych cnót i zadań obywatelskich kraju.

Ale w roku 1865, kiedy dzieło Supińskiego wprowadza w świat Krupiński, mamy już w Kongresówce 10 wielkich fabryk włókienniczych, w tym Scheiblera i Grohmana w Łodzi, Kruskiego w Pabianicach, gigant fabryczny w Żyrardowie, garbarnie Temlera i Schwedego w Warszawie. Jest to jednocześnie okres politycznych refleksji popowstańcowych na tle zniesienia pańszczyzny. Zarówno hasła pracy organicznej jak i teoria rozwoju społeczeństwa kapitalistycznego znajdują zrozumienie, stają się rewolucyjną ideologią polskiego mieszczaństwa. Chce ono ratować naród i budować jego gospodarkę.

Jakimi drogami? Supiński widzi w pracy i wiedzy dwa zasadnicze motory postępu społecznego. Postęp ten dokonać się może tylko w narodzie, w którym istnieje harmonijne współzycie. O harmonii społecznej decyduje wymiana usług według zasad, które kierują życiem narodu, jako społecznego, „organizmu”. Organizm społeczny zaś działa zgodnie z prawami podziału funkcji. Zakłócenia tych funkcji uniemożliwiają rozwój. Potęgą narodu jest bogactwo, ubóstwo — objawem jego upadku. Naród, który chce wydobyć się z nędznego położenia, musi oszczędzać. Oszczędność to cnota obywatelska nowego społeczeństwa. Supiński jest wrogiem pańszczyzny i żąda zniesienia niewoli chłopskiej. Główny nacisk kładzie jednak na „uobywatelnienie” ludu przez oświatę. Wiedza jego zdaniem jest najskuteczniejszym środkiem rozwiązywania konfliktów społecznych. Stąd żądanie społecznego wychowania ludu. Obowiązek wychowawczy ciąży na „górnych” warstwach, tj. szlachcie i duchowieństwie.

Kiedy od tych wstępnych sformułowań organicznikowskich przesuwamy się w okres dojrzałości i rozkwitu pozytywizmu, uderza nas mgławicowość i frazeologiczność programowa pozytywistów.

Świętochowski jest jednoznaczny społecznie, kiedy zwalcza konserwatyzm i feudalne pretensje szlachty i magnaterii wobec uwłaszczenia chłopów. Ale kiedy ukazuje sprawę chłopską w jej współczesnej istocie społecznej, zatracą wszelkie przesłanki i perspektywy historyczne. „Chłop uznany jest obecnie przez ustawy krajowe za jednostkę podległą tylko tymże prawom. Z wszelkich zależności prywatnych najzupełniej jest zwolniony. Na równi z urzędnikiem, przemysłowcem, szlachcicem, magnatem ma przyznane prawo obywatelskie”. Przyznawszy chłopom równe prawa z innymi i usadowiwszy ich obok przemysłowców i magnatów, staje się nagle bezradny i nie bardzo wie, co robić z tym wyraźnie niedobranym towarzystwem. Nie bardzo wie, żeby takie wyzwolenie mogło być rzeczywiste. Szuka źródła tego fałszu i znajduje je w sposób najmniej oczekiwany.

„Pierwszą i bez wątpienia od nas zależną przyczyną ujemnych następstw wyzwolenia stanu kmeńczego była jego ciemnota i niedojrzałość”. Oczywiście od tej diagnozy prowadziły drogi pracy organicznej nie do zmiany sytuacji społecznej chłopów, ale do pracy wychowawczej. Wiele też włożono serca w tę pracę. Nie omieszkało też wyjaśnić, kto ma wychowywać i dla kogo.

„Na klasach... mających i oświeconych... leży obowiązek... usuwania przeszkód, jakie następują się naturalnemu rozwojowi społeczeństwa — stwierdza lapidarnie Aleksander Głowacki — w znanym „Szkiecie programu w warunkach obecnego rozwoju społeczeństwa” a we wcześniejszych cyklach artykułów o mieszczaństwie, drukowanych w Nivie 1872 r. stwierdza co następuje:

„Jeżeli zwrócimy się na pole sztuki i rzemiosła, handlu i przemysłu, spotkamy tam... mnóstwo ludzi pracowitych i zaenych, pochodzących od mieszczaństwa średnich, pozostających często w tej sferze, nierzadko zaś dobijających się znaczenia, sławy i majątku. Z istnienia podobnej klasy w społeczeństwie ten przede wszystkim wynika pożytek, że ono to właśnie łączy go z dołem, że jest ogniwem spajającym cały łańcuch społeczny”. Oto mamy i wizerunek żywy społeczeństwa (górnicy i dół społeczne) i drogi awansu społecznego (sława i majątek) i szlachetną rolę inteligencji. Ideaty organicznikowskie inteligencji sformułował Prus w „Najogólniejszych ideałach życiowych”. „Ideami tymi są: Szczęście. Doskonałość. Użyteczność. Doskonałość pole-



Józef Supiński

ga na istnieniu rozmaitych części i własności, które tworzą całość zorganizowaną, gdzie wszystko wspiera się wzajemnie. Szczęście w istotach żywych wynika ze zmian wspierających życie, zdrowie i rozwój. Nareszcie Użyteczność polega na takich czynach, które wywołują Szczęście i Doskonałość”. Trudno o wyższy stopień tautologii i abstrakcji. Analiza różnych deklaracji pozytywistycznych potwierdza w przekonaniu, że faza kapitalizmu polskiego ukazała perspektywę nowego społecznego rozwoju w kraju i tym perspektywom dała się uwieść pozytywistyczna inteligencja. Nie zdobyła się jednak ona nigdy na decyzję polityczną. Dlatego reformy społeczne, walki polityczne, sprzeczności ustrojowe stanowiły w jej świadomości chaos, którego wyrazem jest cała ideologia pracy organicznej.

Świętochowski napisał artykuł „Nowe drogi polityczne”, a Orzeszkowa w r. 1830 rozprawę o patriotyzmie i kosmopolityzmie. Ale próżno szukałobyśmy w tych wypowiedziach jakiegokolwiek kontaktu z myślą polityczną wyraźną burżuazją lub zdecydowanie proletariacką. Świętochowski opowiada się (w r. 1876) za carską polityką słowiańską, a Orzeszkowa snuje rozważania o obywatelstwie świata w całkowitym oderwaniu od społecznej i politycznej rzeczywistości czasu.

Liberalizm polski, reprezentowany przez hasła pracy organicznej pozytywistów, był dziwnie nieskoordynowanym zlepkiem ideologicznym. Gdy w latach 80 i 90 zerwane zostały wszelkie złudzenia co do społecznego i narodowego charakteru kapitalizmu polskiego, rozpadła się cała inteligencja organicznikowska. Krupiński zapadł się w marazm starczy i przeżył samemu sobie. Świętochowski stał się zagonczykiem narodowym, Orzeszkowa wpadła w ludomanię i kult świętej rodziny, Prus stał się wrogiem postępu, Ochrowski oddał się mediumizmowi, Bogański zaparł się organicznej wiary, papież obozu pozytywistycznego, Adam Wiślicki, rozpiął się w utopii socjalistycznej. Ani jednej postaci spośród koryfeuszów pozytywistycznych w ruchu robotniczym, ani jednej w szeregach rewolucyjnych. Rzecz o charakterystyczne światło na hasła pracy organicznej i pracy u podstaw, które miały wyrażać ogólnonarodowe tendencje odrodzenia i odbudowy kraju przez mieszczaństwo.

W gruncie rzeczy umacnia się ono jako klasa panująca i budująca swoją zamożność. Hasła pracy u podstaw nie oznaczają nic innego jak teorię rozbudowy potencjału gospodarczego polskiego kapitalizmu. „Praca organiczna” wyrosła na tej teorii jest hasłem mobilizacyjnym dla proletariatu miejskiego i wiejskiego. Nauka, wiedza, technika, oświata to stopnie awansu społecznego dla tych, którzy potrafiały oderwać się od swego podłoża społecznego, zerwać z własną klasą społeczną i wrosnąć w burżuazję jako twórcze, ugruntowujące jej panowanie siły.

Praca organiczna nigdy nie oznaczała takiej wiedzy i nauki, która by miała służyć ogólnonarodowemu rozwojowi kultury, oświaty nigdy nie była traktowana jako narzędzie postępu mas ludowych, technika nigdy nie służyła zaspokajaniu powszechnych potrzeb. Wszystkie te elementy kultury pozytywistycznej stanowiły dobra ekskluzywne, zamknięte ściśle w kręgu klasowym i pilnie strzeżone przed „roztrwonieniem”. Wszystko to, co w pięknych nowelach Orzeszkowej, Konopnickiej, Prusa i Żeromskiego nosi charakter bezinteresownej służby społecznej i oznaczane jest jako wyraz racjonalistycznej organizacji życia zbiorowego, w gruncie rzeczy oznacza rekrutację mas w przyspieszone tempo rozwoju kapitalistycznego i poza tak ujętym klasowo programem wychodzi jedynie w rozmaite odmiany złudnych wiązań „solidarystycznych”.

¹⁾ August Comte (1798—1857), filozof fr., socjolog, twórca pozytywizmu.

²⁾ „Discours sur l'esprit positif”.

³⁾ Ibidem.

Jerzy Cios

TRZY NAJPOPULARNIEJSZE METODY

Rok Chopinowski w Polsce przyniesie poważne ożywienie w dyskusji muzykologicznej. Nie ma już przysługujących tu próby interpretacji poszczególnych dzieł, noszące wyrazne znamiona walki z idyografizmem, który tak szeroko przyjął się na gruncie historii muzyki, gdzie uważa się go dotąd za najpoważniejszą dyrektywę badawczą, za najlepiej odpowiadającą strukturze dyscypliny o tak spacyficznych przedmiotach jak muzyka. Wszystkie te poczynania są bezsprzecznie zjawiskiem interesującym i korzystnym w zestawieniu z usiłowaniami innego typu zaklasyfikowania czy to twórczości Chopina, czy też innych kompozytorów, zaklasyfikowania, w którym zawarta jest przecież pewna koncepcja kultury, jakiegoś ujęcia zadań nauk historycznych. A właśnie dla laika, dla obserwatora nie posiadającego dostatecznej erudycji, by wysuwać jakieś inne hipotezy niż badacz-strukturalista odnośnie — dajmy na to — koncertu E-mol, te inne hipotezy, z szerszego kręgu teorii kultury, wydają się najistotniejsze.

Możemy milczać przylgając się całej dyskusji ze spokojem niezainteresowanego (bom nie muzykolog), gdyby jej problematyka nie dotyczyła mnie tak bezpośrednio, gdyby wypowiedzi zarówno już opublikowanych jak i nie drukowanych jeszcze (a pchających się na szpalty) nie zebrało się tak wiele, gdyby wreszcie nie pewne niebezpieczeństwa tkwiące w nich i zagrażające, moim przynajmniej zdaniem, dalszemu rozwojowi muzykologii, a co za tym idzie, historii sztuki. Wszystkie bowiem spośród ostatnio ukazujących się prac o Chopinie holdują trzem koncepcjom dzieł muzyki. Pierwsza z nich jako przedmiot nauki zakłada **biografię autora**, (autora dzieł muzycznych), druga — **łączność między twórcą a kompozycją**, która tłumaczy się tylko przy pomocy **losów artysty**, trzecia — **usiłujące uzależnić rozwój sztuki bezpośrednio od sił produkcyjnych**, holdując tym samym tak zwanemu **ekonomizmowi**.

Kiedy czytamy niektóre wypowiedzi, odbiera się wrażenie, że przeciw hasłom ograniczenia wszelkich badań do samego dzieła powstał z grobu sam Saint-Beuve. Oczywiście myślimy to wówczas, gdy leżą przed nami prace o charakterze biograficznym. Wracamy w ten sposób do pierwszej połowy XIX wieku. Wtedy bowiem przedmiotem zainteresowania badacza sztuki był jedynie i wyłącznie sam twórca.

Rzecz prosta, wyjaśnienie życiorysu przebiega u niektórych polskich muzykologów inaczej. Ale istotna metodologiczna dyrektywa pozostała bez zmian.

Wpisuje się osobę kompozytora w dzieje społeczne, wyjaśnia jego zachowanie i poglądy normami obyczajowymi grupy, w której przebywał. Wiemy już, że Chopin na przykład obracał się wśród mieszczańskiej finansjery, będąc wytworem środowiska szlacheckiego. Wszystko jak dotąd pięknie... Tylko czy jest to przedmiot dociekań muzykologa? Czy może przenieśliśmy się na grunt jakiejś innej dyscypliny? Orzekamy już nie o dziełach muzycznych, a o dziełach poszczególnych artystów. Zmieniliśmy po prostu przedmiot nauki.

Dlatego więc tylekroć padamy ofiarą pomyłek, kiedy jako rozprawy z zakresu historii muzyki otrzymujemy życiorysy Beethovena. Z takim typem prac należy bezwzględnie walczyć, gdyż nie mają one nic wspólnego z historią sztuki, a nie wiem, czy jest dla nich miejsce na gruncie innych dyscyplin (np. historia społeczna). Tolerowanie ich natomiast w granicach muzykologii, uznawanie za osiągnięcia nowatorskie, godne naśladowania, prowadzi do likwidacji tej nauki, której podstawowym zadaniem jest przecież wyjaśnianie struktur dzieł muzycznych i ich systemów estetycznych.

O ile wyżej wzmiankowanych poczynić nie można traktować jako poważne, o ile widzieć w nich trzeba niestety pewien odwrót badawczy, związek z zapóźnionymi wzorami biografistyki, o tyle druga tendencja, zakładająca **jedność twórcy i dzieła** jest najzupełniej konsekwentnym, ze względu na przedmiot badania, spadkiem po szkole pozytywistycznej, a nawet po diltheyowskich dyrektywach odnośnie naukowego postępowania z dziełami sztuki. Ale też konsekwencje wynikają stąd smutne. Mickiewicz kochał się, więc napisał IV część „Dziadów”. Chopin tęsknił za ojczyzną, a więc powstały mazurki. Przykłady takie można by mnożyć w nieskończoność. Oczywiście, są to przykłady najordynarniejszego wydania takiej metody w historii sztuki. Dziś podlega ona poważnym modyfikacjom. Przyjęto już założenie, że do dzieła wchodzi artysta nie tylko, jako psychika indywidualna, lecz także jako pewna osobowość ukształtowana w konkretnym czasie i w konkretnym środowisku. Znaczą to tyle: jeśli człowiek przebywający w pewnym kręgu społecznym jest pisarzem, to twórczość jego będzie ściśle uzależniona od tego kręgu. Naturalnie, owo tak wzruszające założenie nie zostaje nigdzie udowodnione. No, bo i udowodnić go nie może. Cały szereg faktów przeczy tej udoskonalonej i skorygowanej zasadzie Hipolita Taine’a. Przede wszystkim nie możemy poznać ogółu bodźców działających na twórcę (brak empirycznych danych). W rezultacie więc da się stosować tu jedynie jakąś hipotetyczną znajomość jego psychologii. Chcąc zaś uniknąć tego, popada się bezpośrednio w mechanistyczny determinizm, który wystąpił ongiś tak wyraźnie w pewnym okresie działalności krytyczno-literackiej Jerzego Plechanowa. Twórca był całkowicie uzależniony od środowiska. Przebywał w nim,

wychował się — musiał więc je reprezentować. Koncepcji tej wyraźnie przeciwstawił się Lenin z okazji Tołstoja, publikując swoje szkice o twórczości autora „Wojny i pokoju”, mogące służyć dziś za prawdziwy wskaźnik drogi badawczej na gruncie historii sztuki.

Przecież stosunki Chopina z kołami francuskiej burżuazji nie pozwalają nam na określanie **jego muzyki** mianem mieszczańskiej przy równoczesnym podawaniu **faktów z życia** wielkiego kompozytora, jako jedynego uzasadnienia mieszczańskości jego muzyki. To tak, jakgdyby „Tańcząca Iris” Watteau tłumaczyć ziemieśniewiczem rodowodem francuskiego malarza, albo w „Portrecie Don Carlosa z rekawiczką” Velasqueza dostrzegać pochwałę feudalizmu, dlatego tylko, że Velasquez był synem hiszpańskiego szlachcica. Na koniec powstaje problem zgola nie dający się rozwiązać. Jak filozofia Marksa mogła służyć proletariatu, skoro genealogia społeczna autora „18 Brumaire’a” i środowiska, w których przebywał, determinowałyby go raczej w przeciwnym kierunku? Takie właśnie fakty, empiryczne wydarzenia, najdotkliwiej dyskredytują tę pseudomarksistowską a właściwie z marksizmem sprzeczną koncepcję kultury, która niestety pojawia się ostatnio coraz częściej na gruncie całej historii sztuki. Mechaniczne uzależnianie twórczości artysty od jego biografii społecznej, przy czym ta ostatnia rozstrzyga o wartości wszelkich dzieł, prowadzi przecież bezpośrednio do fałszywych ocen, do bardzo przykrych pomyłek. Przewyższenie podobnych tendencji w imię marksowsko-leninowskich dyrektyw odnośnie dzieł kultury winno stać się dalszym krokiem w unaukowieniu takich dyscyplin jak na przykład muzykologia, jak **przede wszystkim** — muzykologia!

Trzeci i bodaj że najciekawszy, a zapewne najbardziej obiecujący typ badań na gruncie historii muzyki reprezentuje niewątpliwie artykuł Gólachowskiego „Fortepian Chopina” („Wieś” nr 8). Choć ta odważna, nowatorska

nawet praca, nie wolna jest od niedociągnięć tak metodologicznych jak i niekiedy logicznych. Błędy w rozumowaniu, które jak przypuszczam, były spowodowane pośpiechem pisańskim autora, jako mniej ważne, chyba przypadkowe, pomijam milczeniem — zajmę się głównie próbą genetycznego uzależnienia poszczególnych dzieł muzycznych od faktów społecznych.

Dowiadujemy się najpierw, kiedy powstał fortepian, kiedy się przyjął i jakie skutki pociągnęło to za sobą w całej twórczości kompozytorskiej wieku XIX. A więc **ekonomizm**. Rozwój sił wytwórczych bezpośrednio wpływa na sztukę. Pojawiają się nowe instrumenty, oczywiście w miarę postępu form produkcji i one wpływają w jakiś bardzo istotny sposób na kierunek, w którym dokonywuje się ewolucja wewnątrz szeregu zjawisk artystycznych. Niestety, sformułowanie to ma tylko pozory słuszności. Całą bowiem sprawę uproszczono i to poważnie. Fakty zaczynają przeczy interpretacji Gólachowskiego. Dzieje się to nawet wówczas, gdy dochodzimy do kluczowego punktu w wyjaśnianiu dzieł Chopina. Owszem, zgadzamy się na wpływ rozwoju techniki w odniesieniu do twórczości muzycznej. Ale nie wiemy, dlaczego fortepian wyparł orkiestrę? „Mieszczański nie mógł sobie pozwolić na posiadanie własnej orkiestry” — argumentuje Gólachowski. I popełnia błąd. Burżuazja zachodnio-europejska niewątpliwie dysponowała dostatecznymi środkami finansowymi, by nie być zmuszoną do wykorzystywania jako najtańszego instrumentu fortepianu. Toteż motywacja taka siłą rzeczy upada. Ale wyłania się od razu nowe zagadnienie niemniej ważne i niemniej pasjonujące. Narodziny nowego instrumentu determinują niewątpliwie twórczość muzyczną ogólnie, wpływając na nią w szerokich granicach. Bo przecież utwory fortepianowe pisał i Chopin, i Liszt, i Schumann, i Schubert, i Debussy, i Ravel... Toteż specyfika dzieł polskiego kompozytora nie zostaje jeszcze przez fortepian objaśniona. Nie wytłumaczamy bowiem (zastosowawszy metodę



Fryderyk Chopin

(Mal. A. Miroszewski 1827 r.)

Gólachowskiego), na czym polega odrębność koncertu E-mol Chopina w porównaniu z koncertem Es-dur Liszta.

Wszystkie uwagi, które tu poczyniłem, nie mają na celu pośpiesznego uśmiercania tych wszystkich prób i poszukiwań polskich muzykologów, nie dają do wylania dziecka wraz z kąpielą, mają jedynie wskazać na rodzaje i zakresy metod badawczych muzykologii polskiej, z których jedne mogłyby, jak sądzę, wpłynąć niekorzystnie na dalszy tok badań, rozpoczętych tak chwalnie artykułem Zofii Lissy w „Myśli Współczesnej” i trafną wypowiedzią Bolesława Woytowicza na uroczystym otwarcu Roku Chopinowskiego, — inne zaś wymagają metodologicznego pogłębienia.

Krzysztof Ślawiński

O NIEPRZEMYŚLANYCH MYŚLACH

Z zaciekawieniem i ze zdziwieniem przeczytałem w Nr 8 (181) „Kuznicy” artykuł Zygmunta Mycielskiego „Kilka myśli o Chopinie i polskiej muzyce współczesnej”. Doprawdy trudno go pozostawić bez odpowiedzi. Chciałbym się jednak zastrzec, że nie chodzi mi tylko o artykuł Mycielskiego. Sprawa jest znacznie szersza — i poważniejsza. Te „Kilka myśli o Chopinie” — to tylko symptom niedomagań, którym wciąż jeszcze ulega część naszych muzykologów. Nawet nie precyzując błędów tych niedomagań — nie ulega wątpliwości, że należą one do zakresu teorii kultury — albo ściślej, do anachronizmów metodologicznych, jakimi wciąż jeszcze posługują się w swych badaniach i rozwiązaniach muzykologów. Świadczą one o zupełnym braku związku z konsekwentną teorią kultury — są wynikiem eklektyzmu różnych teorii kultury i światopoglądów.

Artykuł Mycielskiego jest niewątpliwie dla tego typu rozważań wysoce charakterystyczny. O czym mówi? „Chciałbym tylko skierować uwagę na to, co mi się wydaje zagadnieniem centralnym: na istotę liryzmu, artystyzmu, romantyzmu i dyscypliny”. Intencje autora są jasne i zrozumiałe. Tylko, że przy wyjaśnieniach zaczynają się niepokojące komplikacje. Np. co jest „istotą” Chopina? „U Chopina nie temat mazurka, krakowiaka, czy kołędu w scherzu jest ważne, lecz KLIMAT — rzecz trudniejsza do określenia niż czterotaktówka, którą moglibyśmy odszukać czy porównać z piosenką ludową zanotowaną przez Oskara Kolbergą. STRÓJ, PRZETWORZENIE, ŹRÓDŁO NATCHNIENIA — jest ISTOTĄ tego, co jest jego kreacją i wyrazem, i co pretenduje do miana polskiego stylu muzycznego”. (Podkreślenia nasze).

I teraz już nie wie się, co jest „istotą” Chopina — czy KLIMAT utworu, czy też STRÓJ utworu, albo PRZETWORZENIE albo ŹRÓDŁO NATCHNIENIA? Bo te cztery pojęcia mają zupełnie inne znaczenie, a przecież jedna rzecz nie może mieć czterech „istot”. A w ostateczności tego rodzaju określenia mówią tylko tylko, że specyfiką Chopina jest JEGO SPECYFIKA. Czyli masło maślane.

Stwierdziwszy, że „klimat” itd. — jest istotą stylu chopinowskiego, autor brnie

w nowy gąszcz nieporozumień: „Tworzył Chopin ten styl tym łatwiej, że był romantykiem. Romantyzm jest polskim stylem — w sztuce przynajmniej... Dalej: „Jedną z cech romantyzmu jest liryzm. Słowianie lubują się w nim, jak Francuzi w klasycyzmie, a Hiszpanie w baroku”. I pod koniec: „To sam artysta, rzemieślnik przynależy do jakiejś grupy etnicznej, dlatego wszystko, co tworzy, staje się sztuką narodową, a nie dlatego, że czerpie z takiej czy innej tematyki”. Finis comediae. A więc ostatecznym źródłem muzyki Chopina jest BIOLOGIA albo DUCH NARODU (Niemcy powiedzieliby zapewne Völkpsychologie). I wypisuje Mycielski to wyjaśnienie ot, tak, po prostu — jakby ono było czymś zupełnie nie podlegającym dyskusji. Jakby polemika, którą przed dwoma prawie wiekami toczył Helvetius z Monteskiuszem (nie chcę się powoływać na późniejsze dyskusje, których wydźwięk byłby dla Mycielskiego o wiele mniej przyjemny), na temat wrodzonych cech narodowych nie miała charakteru zasadniczego. Dlaczego romantyzm jest polskim stylem narodowym; liryzm — charakterystyczną właściwością Słowian; barok — Hiszpanów; a klasycyzm — Francuzów? Trudno zrozumieć... i nie wypada zrozumieć. Bo gdyby zrozumieć, wnioski trzeba by formułować zbyt ostro. Wiemy, że romantyzm (w każdym bądź razie ta forma artystyczna, którą się potocznie nazywa dziewiętnastowiecznym romantyzmem) rozwijał się wszędzie — w Europie i w Ameryce — a do Polski przyszedł nawet dość późno. Dlaczego jest on właśnie typowo polski — znów nie wiemy. Może by to ktoś wyjaśnił — kto wie lepiej. Wiemy bowiem, że był on wyrazem sytuacji społecznej pewnych klas, kiedy na Zachodzie rozwijał się już ustrój kapitalistyczny, (a więc miał charakter historyczny a nie ahistoryczny — jak chciałby dowieść Mycielski). Że jest produktem epoki, sprzeczności społecznych, staru intelektualnego itd. — a nie wyrazem jakiejś grupy ETNICZNEJ. Mycielski sprowadzając zagadnienie genezy społecznej twórczości Chopina — do grupy etnicznej — co najmniej słyca zagadnienie i sprowadza na tory, na które dyskusja o Chopinie nie powinna w ogóle wejść. W trakcie takich

rozważań Mycielski określa „istotę” charakteru i geniuszu Chopina:

„Z trzeźwych kart tego romantyka wieje dziwna i prosta, młodzieńcza świadomość wieszczą jak fatum nieszczęścia. Smutek ten jest rzadko wyrażany wprost, potęguje się latami i chorobą, prześlada z ironicznymi zdaniami i odśladnia niezaspokojony stosunek do świata i ludzi, jakiś niedosyt, będący treścią artysty. Mały człowiek nie stworzy nigdy wielkich dzieł. „Biedne chłopczyko” organizowało sobie życie jak mogło, przyjaciele pomagali — on pisał ciągle testament i dbał o jego czytelność. Ten pozorny rozdźwięk człowieka i napięcie emocjonalnych, które jego dzieło zawiera, jest u Chopina niezwykle. Nie widzimy u niego tej „zażartości zawodowej”, którą zdradzają biografie wielkich mistrzów. Coś innego jest jego cechą, pozorna swoboda sposobu bycia, przy całym natężeniu świadomej woli twórczej. Bardzo ciekawy styl życia, inny od dotychczasowych geniuszów, czy „tytanów pracy”.

I teraz nie wiemy już nic. Dotąd Chopin należał do grupy etnicznej — teraz należy do jakiegoś świata METAPSYCHICZNEGO. Chopin przestał być człowiekiem społecznym, a przeobraził się... W co? Wybaczcie, ale w mistyfikację.

A przecież sam Mycielski pisze:

„Trudno jest myśleć o Chopinie spokojnie, a przecież trzeba myśleć — jak o każdej rzeczy — nie historycznie, lecz właśnie spokojnie. Jako romantycy, mamy skłonność do historycznego myślenia. Zwłaszcza gdy chodzi o tak zwane „świętości narodowe” — obracamy się najchętniej w kręgu chwalebnych frazesów”. Rzeczywiście należy myśleć bez histeryi i bez frazeologii. Wówczas można by o Chopinie napisać z sensem. A nie — jak się wyraża Mycielski — „mętnie”, którą przecież Chopin tak ostro potępiał.

Artykuł Mycielskiego jest tylko małym wycinkiem tego zaufku, w którym tkwi u nas jeszcze część muzykologów. Jakże poważnie i z o ile większą precyzją pisze o Chopinie KOMPOZYTOR, Bolesław Woytowicz w Nr 9 (222) „Odrodzenia”. Jeśli muzyka polska ma godnie kroczyć śladami Chopina — trzeba też, aby chopinologia postępowała za jego nader słuszną zasadą i unikała „mętnizny”.

Józef Bieniek

S Ł U Ż B A

Słynął Talaga w Dolinie i okolicy, a sława jego różny miewała wymiar i różną treść. Równi mu w morgach kmiecie stawili jego spryt i szczęśliwą w gospodarstwie reke, biedacy pomstowali nań za niesłychaną chciwość, skapstwo i brutalność, zaś jedni i drudzy zgodnie orzekali, że o ile gospodarstwo Talagi stanowić może idealny wzór ładu i dostatku, o tyle on sam przedstawia jeszcze doskonalszy typ bydlaka, wyzutego z olbrzymiej wielkości uczuć właściwych gatunkowi ludzkiemu.

Jedną z naczelnych a wielu cech draństwa Talagi był system prowadzenia prac w czterdziestomorgowym gospodarstwie przy pomocy przypadkowo angażowanych niedołęgów, kałek i ułomniaków. Jak lata długie zawsze kwaterował u Talagi jakiś „bejdok” — głuchy, lub niemy, pokrecony lub z wolami jak wiaderko. Bywało ich po dwóch i trzech na raz. Spali w stajni na szerokim wyrku, przykryci workiem, worek mając za pościelę i poduszkę. Żywili się na „osobnym stole”, stanowiącym coś pośredniego między żarciem dla świni a stołem gospodarza i jego rodziny.

Pracowali za liche krypcie na tandencie kupione i takiż, tamże nabyty przyodziewek. Najczęściej jednak za darmo, gdyż Talaga miał swoistą metodę działania, polegającą na jak najczęstszym obtłukiwaniu swych „działów” z byle powodu, a nawet — zwłaszcza późną jesienią, gdy się ważniejsze roboty pokończyły — bez powodu. Ot tak z fantazji, a raczej z wyrachowania, że obity dział zbuntuje się i ucieknie rezygnując z zapłaty. System ten doprowadzony do perfekcji działał sprawnie, rzadko zawodząc. Większość poniewieranych działów po mniej więcej wymaszczonej przekleństwach i kułakami pokucie, w przypływie energii uciekała po kryjomu, mniemając, że Taladze bardzo musiało zależeć na ich pozostaniu. Gdy zaś który wyjątkowo odporny czy bezwolny i zapoturany nie chciał się buntować, ani domyślić o co chodzi, a zwłaszcza, gdy miał odwagę upomnieć się i o zapłatę, brał go Talaga całkiem zwyczajnie za koinierz i wyrzucał, dodając w razie oporu solidną porcję swej gospodarskiej monety — pięścią podobną do pały lub stopą obutą w ciężki buciar.

Mimo takiego stosunku do służby umiał Talaga znaleźć zawsze ofiarę, która ciężko pracując, za miłą kłopotliwą pracę, pomnażała mniej lub więcej sprawnie majątek chciwca, sama ubożając do reszty w siłach i przyniesionym przyodziewku. Byli nawet tacy, którzy raz wyrzuceni lub uciekający kiedyś wracali jeszcze na dalszą poniewierkę. Bo czasy były ciężkie (lata kryzysu, rok 1932) i normalnie



Biedniacy



Józef Brzana

Drzeworyty Tadeusza Kulisiewicza z tekli „Szlembark” r. 1933

Tamta zaś głosem dziwnie niemiłym i chropatym odważyła:

— Zimno jak jasny pieron, jeść się kce po skurwysyńsku!

Domownicy gruchnęli w śmiech, a Talaga mocno zgorszony usiłował słowami pełnymi namaszczenia wytłumaczyć Bejduli niewłaściwość takich powieżeń, zwłaszcza w obliczu licznych obrazów świętych, które długim rzędem zdobiły jasno wybielone ściany kuchni. Bejdula w odpowiedzi pokazała wszystkim całą długość języka i wcale nie nawrócona, ogrzawszy się trochę, podeszła ku Taladze z niskim ukłonem, mówiąc:

— Dejeze co zjeść, ty stary byku.

Talagę zła krew ruszyła, oblał się purpurą wściekłości i już miał wywalić Bejdulę w zakurzony świat, ale przypomnienie o braku pastucha zmitygowało go z miejsca. Strofuując więc dalej z apostołską cierpliwością nieco dziwnego gościa ukrajał osobiście nawet dosyć dużą kromkę chleba, odlał z potężnego gara miskę żuru i podał Bejduli z miną człowieka dokonywującego zdolnej przewróćce świat ofiary. A potem patrząc z nieukrywana satysfakcją na krztuszącą się gwałtownie połykanymi kęsami dziewczynę, rozpoczął wioskim obyczajem zwyczajną w takich wypadkach indagację.

— Jakże ci dzieciusio na imię?

Bejdula — odparła tamta mamrocąc poprzez zwały chleba tratowanego białymi zębami, z pasją głodnego wilka.

— Hm — mruknął Talaga z lekka stropiony i pytał dalej.

— A jak się nazywas?

— Bejdula — powtórzyła znów, ale głosić, jakby zniecierpliwiona.

— Ho, ho — zadziwił się Talaga — piykne imię, piykne nazwisko. W som roz lo takiego potwero.

— A skądże ty? — męczył dalej.

— A z dupy — chlapała tamta wycierając rękawem gębę po skończonej uczcie.

Dał tedy Talaga spokój śledztwu i puknął się w czoło domyślnie, dając otoczeniu do zrozumienia z kim ma przyjemność. Nie zrezygnował jednak z możliwości usługowych „wariatki”, wychodząc z założenia, że „bejdok” grosza nie weźmie, a robić, co mu każe, musi.

Propozycję Talagi przyjęła Bejdula bez wahania i tak zadomowiła się w Dolinie na długi czas, przysparzając swemu gaździe dochodów, a ludziom doliniskim wielu rozmaitych uciech i wrażeń.

Sprawowała funkcje pasterki, dbając z rzadko spotykaną troskliwością o jedenastoogonowy inwentarz, z którym też zaprzyjaźniła się mocno. Sama jak szczute zwierzę, czuła się w towarzystwie zwierząt daleko lepiej niż między ludźmi, od których zresztą jak życie długie nie doznała niczego poza drwiną, pośmiewiskiem, złością i krzywdą.

— Głupie to bo głupie — mamrała do siebie z myślą o bydle — ale przynajmniej spokojne i dokuczyć niezdoli.

Mówiąc tak drapała ulubieniec swą, lysą Niedziochę, po podgardlu, ta zaś wyciągała z lubością szyję i mrużąc wytupiające ślepia poddawała się pieszczotom, licząc w rewanżu Bejdulę szorstkim językiem gdzie popadło.

Talaga kochający swe bydelko w pełni doceniał pastusze walory Bejduli, to też traktować ją zaczął względnie dobrze, ignorując jej niepożyteczną złośliwość językową i gruboskorność, godzącą najczęściej w jego honor. Bejdula bowiem mimo pozornego hysia rozumiała nadto dobrze swe położenie, a zdając sobie sprawę z pogardy i poturaczki, w jakiej daria swą smutną młodość, mściła się na ludziach całą masą brutalnych i trwałych dobranych wytwisk, którymi szafowała przy każdej okazji jak najhojniej, a które jej, jako „wariatce”, uchodziły bezkarnie.

Na podorędziu miała swego gazdę, toteż jemu starała się w pierwszym rzędzie obrzydzić życie, przysparzając szpetnie w oczy i poza oczy. Z początku Talaga, znany choleryk i wściekacz, pieklił się aż mu piana z pyska leciała. Myślał jednak, że z czasem, na razie łagodnością, a gdy to nie pomoże to hukiem uda mu się Bejdulę poskromić i nauczyc przykładowego szacunku dla jego gazdowskiej mości. Lub w razie niepowodzenia wykurzyć na cztery wiatry. Srodze się jednak zawiódł, stało się bowiem całkiem odwrotnie. To on właśnie, czterdziestomorgowy kmieć, pełen dumy i pychy, noszący łeb w górę jak ogień — skapiłulować musiał i upokorzyć się przed Bejdulą. Przed dziadem! Pierwszy raz w życiu.

Było to pewnego ranka. Bejdula zgarniała właśnie gnój spod krów, gdy Talaga rozświeczony po kłótni z parobkiem, kinąc na czym świat stoi wszedł do stajni. Tu od razu nie spodobały mu się powolne ruchy Bejduli, ryknął więc parszając sliną:

— Ruchej się sakramencki dziadu przedzy, krowy powinny już być dawno na paświsku!

Bejdula swoim zwyczajem pokazała mu język, dodając jeden z okazalszych epitetów, jakimi zwykle zaczynała gazdę. Wściekłość Talagi doszła do szczytu. Skoczył, belkocząc jakieś przekleństwa i kopnął schyloną właśnie Bejdulę w pośladek. Chciał kopnąć jeszcze raz, ale zamachnąwszy się trafił w próżnię, gdyż Bejdula uskokczyła w bok, stracił więc równowagę i pośliznąwszy się rypnął jak długi na ugnojoną dylinę. Ten moment wy-

rozwinęty biedak z trudem znajdował pracę, a cóż dopiero mówić o sieniakach i niedojdach, których dawna wieś produkowała zawsze pewną ilość, a którzy z braku jakiegokolwiek opieki społecznej darli życie w najstraszliwszych warunkach, przeważnie wysługując się bogaczom lub węgetując w skrajnej poturaczce u krewnych albo po prostu żebrząc.

Jedną z takich ofiar, która przypadkowo dostała się w szpony gospodarczego faszystwu Talagi była młoda dziewczyna, uważana powszechnie za wariatkę, bezdomną i bezmiejscową, znana w okolicy pod przewidywanym Bejduli. Przyszła ona do doliny nie wiadomo skąd w marcowe przedwiosenne szaleństwo, gdy śnieżycą ostatnim zrywem fantazji tańczyła jakąś zwiadowaną polkę. Ubrana potrefnie w stare spodnie, z których wyłaziły brudne i czerwone z zimna kolana, w łachu, który kiedyś mógł być męską marynarką, dziś zawieszony na chudych ramionach w postaci zlepku tysiąca łat, grubymi, zgrzebnymi nićmi pozszywanym do kupy, przepasana słomianym powrotem, w słomkowym kapeluszu z olbrzymim rondem, ale bez dna, w miejsce którego sterczała strzechy zmyrchanych kudeł nie czesane nigdy łba — przedstawiała idealnie skomponowany model stracha na wróble.

W szalejącej zawiei po omacku prawie, ryjąc z głodu i zimna dostała się na osiedle Talagi, któremu właśnie parę dni temu nawalił pastuch. Gdy na piekielny jazgot psa, równie wściekłego jak jego gazda, wyrzwał Talaga oknem i dostrzegł ślaniającego się pod uderzeniami wichru cudaka, od razu rozchmurzył skwaszony pysk. Drapieżny umysł starego chciwca z miejsca zwał się korzystną okazję.

— Będzie pastuch — mruknął zacierając łapska — a zezując w stronę obrazu Matki Boskiej dodał:

— O dobrym nigdy Pon Jezusik nie zapomina.

Bejdula tymczasem, zasmarkana i umazana łzami, łuczając i ślufając, wtryndała się do izby, idąc bez słowa prosto ku blasze, pod którą wesoło trzaskał ogień. Gwałtownym ruchem wyciągnęła nad ciepłem do cna skostniałe ręce i wciąż nie mówiąc zaczęła głośno bucieć. Wzruszyło to oczywiście Talagę, zapytał więc słodziutkim głosem:

— Cóż ci to dzieciusio, co, to co, co się tak ślimtos?

Drzeworyty Tadeusza Kulisiewicza

BEJDULA

korzystała Bejdula, by leżącego przewalić widłami z całych sił. Nim się pozbierał, dostał jeszcze kilka razy. Siny z wściekłości, krztusił się nadmiarem bulgocących słów uciekł w pole krzycząc na Bejdulę, by sobie poszła precz. Ale już, zaraz, natychmiast! Bejduli ostatecznie nie było tak źle, a raczej bywało jej dużo gorzej, nie miała też najmniejszej ochoty do zmiany miejsca. Wyszła więc, dalej spokojna, dzierząc przed sobą widły i powiedziała:

— Jak wyścigasz to i pude, ale niek mnie ślak trafi, jak cie nie zjuchę. Zaroz w piyrszą noc!

I aby pokazać co ma na myśli, wyjęła zapalki i podkładając je pod strzechę uczyniła jakiś nieokreślony ruch, mający oznaczać objęcie całych zabudowań siatką płomieni.

W Talagę jakby piorun trzasnął. W jednej chwili cała złość uleciała zeń czyniąc miejsce potwornemu strachowi. To była jego najsłabsza strona — lęk przed pożarem, przed utratą nagromadzonego majątku. Ze szczupłego grona uczuć dostępnych skamienialemu sercu bogacza to jedno miało moc przygotować go o gwałtowne drżenie, o przyspieszony stukot pulsu, o ból głowy. Ile razy nad Doliną przeciągała burza z piorunami, Talaga zwykle funiasty, buczny i zdawałoby się wszechmocny, młaj, kurczył się i szarzał, truchlejąc w cichym poczuciu licznych win na myśl o gromie, którym zagniewany Bóg zniszczyłby w jednej godzinie piękny owoc wieloletnich zachodów jego pracowitego żywota. Modlił się tedy na swój sposób:

— Panie Boże, rób co chcesz, ino pierony mocno na gorzści trzymej. A jak już konieczne chcesz się ucieszyć, to łotnij se hej w Tłólcyną budę. Stare to, malutkie i na ubocu — w som roz na spolenie.

Tak modlił się stary skap, popatrując roztrzęsiony w okno za każdą błyskawicą, czy aby nie już. Miał też spory zapas gromnic, które w takich wypadkach świecił we wszystkich oknach. Miały tu one wyraźnie określone funkcje — odganiać świetliste zło od pięknych i obszernych zabudowań.

Nic tedy dziwnego, że takie ultimatum Bejduli wałnęło go z siłą gromu. Zadygotał cały wewnętrznie, uciekł do izdebki i trawiony zgrzyotą chorował do wieczora.

Od tego dnia dostała Bejdula lepsze jedzenie, ubrano ją wcale przyzwoicie i co najważniejsze — Talaga odczepił się od niej na dobre.

Zdając sobie sprawę z przewagi, jaką nadspodziewanie uzyskała nad starym diabłem, mściła się nad nim Bejdula jeszcze bardziej, dogryzając mu przy każdej okazji w sposób coraz bardziej wyrafinowany i okrutny. Ułożyła sobie nawet kilka piosenek, które wyśpiewywała całymi dniami pasąc lub żenąc krowy do stajni w miejscu najgęściej szego zaludnienia Doliny.

— Talaga, Talaga — huczała nieznużona — rozbier się do naga. sprzedaj zydym gacie — to sie dobogacis.

Albo:

A ten nas Talaga
to kawo! kutosa,
chodź! zalaptany
do samego pasa.

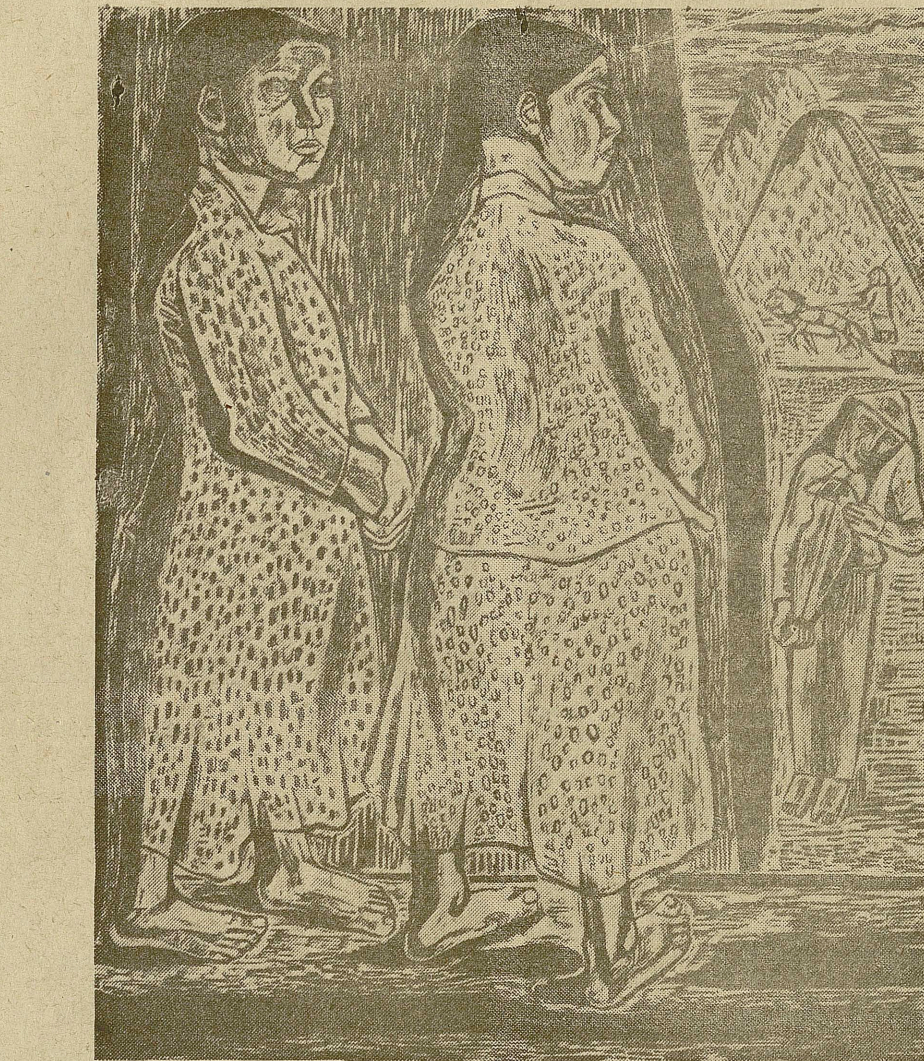
Tak mściła się biedna dziewczyna, pragnąc drwiną zasypać głębie doznanych krzywd, mając język i bezczelna dokuczliwość za jedyną broń w jakże nierównej walce. Nierówność tę najlepiej zresztą charakteryzował sam Talaga, który, gdy śpiewy takie słyszał, uśmiechał się z kwaśną miną i mówił:

— Huc se a huc, bylebyś krów dobrze pilnowała.

Minął rok. Przyszła wiosna i Bejdula znów wygnała krowy na obszerne błonia bogacza. Pasała i śpiewała, ciesząc się swą mizerną zemstą, nowe o nim śpiewki. Były jeszcze bardziej nieprzyzwoite niż w roku ubiegłym. Ale niezmiennie była dbała o Bejdulę, toteż Talaga cieszył się z taniej a dobrej pracownicy. Zaś doliniacy cieszyli się znów, że ktoś wreszcie tej dokuczliwej i nieużytej bestii potrafi bebeczy przewracać. Cieszyli się każdy po swojemu i było im jakby dobrze.

Gdzieś w końcu czerwca zdarzył się w Dolinie wypadek, który do wieńca sławy Bejduli, jako pogromczyni srogiego Talagi, dorzucił jeszcze jeden liść wcale pokaźnych rozmiarów. Te jniedzieli miejscowy Związek Rezerwistów święcił sztandar. W uroczystości wzięto udział szereg wybitnych osobistości z powiatowej stolicy, ze starostą, co się całkiem zwyczajnie Płachtą nazywał, na czele. Po kościelnej ceremonii uformował się długi pochód z zamiarem dojścia do szkoły, gdzie miała się odbyć dalsza część uroczystości. Czoło pochodu stanowili chorągwie ze sztandarem, starosta, komendant policji, kierownik szkoły i wójt. Za nimi układała się reszta, stopniowana kolejno godnościami, których jednak nie było zbyt dużo, i pochód wnet złożył się z całkiem bezgodnościowej masy pospolitego chłopstwa.

Pochód znalazł się prawie na połowie drogi między kościołem a szkołą, orkiestra Straży Pożarnej grała właśnie ognistego marsza, gdy z przydrożnych krzaków wyskoczyła eleganczka wystrojona w swój słomkowy kap-



Siostry

ciuch Bejdula. Chwile po stała oglądając zbliżających się dostojników, a gdy tamci znaleźli się o jakieś 50 kroków, raptem odwróciła się, wypieła ku nadchodzącym zadek i podniosła spódnice. Nadspodziewanie czyste pośladek błysnęły na podobieństwo księżycy, który wydrze się na chwilę z wieży chmurzastych łachmanów.

Idący dostojnicy przez moment oniemieli, spojrzeli po sobie i nie wiedząc co to znaczy stanęli. Za nimi stanął cały pochód. Muzyka ukryta w głębi tłumu, o niczym nie wiedząc grała dalej, a Bejdula rytmicznie, w takt zadzierzystej melodii poruszała wygulonym zadkiem, bacznie z między nóg obserwując co będzie dalej.

Niezbyt miłą sytuację uratował znany z wysokiego poczucia humoru starosta wybuchając niepoohamowanym śmiechem. Za nim pośpieszyli się uśmiechnąć wierni podwładni. Pochód rozsypany się momentalnie i nad całym tłumem wzbili się tuman hahania. Jedynie surowy komendant policji i suchotniczy kierownik szkoły, prezes Związku Rezerwistów uważali za stosowne urzędowo się oburzyć i polecili obecnym policjantom aresztować „prowokatorke” natychmiast.

Ta jednak nie miała zamiaru czekać i skoro dwóch policjantów ruszyło dusząc się śmiechem ku niej, spuściła kurtynę i dała nura w zagajnik.

Wypadek ten stał się na wiele tygodni dla Doliny i okolicy całej ulubionym tematem rozmów, domysłów i żartów. Na ogół twierdzono, że to zwykły wyczyn obłąkanej, byli jednak i tacy, którzy dopatrywali się w tej hęcy głębszego sensu, politycznego wyzwieńku. W kołach stronników Ozonego wyraźnie posadzono miejscowego prezesa ludowców, znanego radykała Kacię, o wyreżyserowanie tej obelgi. Miał nawet Kacię z tej racji polityczne dochodzenia, które jednak z braku dowodów skończyły się na solidnym obtłuczeniu gumowymi palicami tej samej części ciała, przy pomocy której Bejdula obrażała państwowotwórcze uczucia pochodowców.

Przeszło kilka lat, w tym już trzy krwawego gwałtu wojenno-okupacyjnej krzywdy.

Pewnego ranka zaleczyli na drodze od miasta motory. Szły dwa auta pełne „siwków” — jak tu zwano żandarmów i gestapowców. Na pierwszym, wtłoczony między soferę, a grubego byka z rewolwerem w ręku, siedział aresztowany onegdaj Kulig. Nawet nie wiedział, że był aresztowany. Wyjechał parę dni temu w „pewnych sprawach”, a teraz oto siedział w aucie straszliwie zmieniony i postarzały z twarzą prawie czarną od sińców. Kiwając się, napół przytomny, usiłował od czasu do czasu otworzyć zapachle oczy, by wskazać kierunek drogi.

Jechali przez wieś nie zatrzymując się, prosto na Przylasek, ku chacie starej Tłółki. Nim dojechali, z chaty wyskoczyło trzech mężczyzn, którzy choć posypały się za nimi strzałami, zdołali dopaść lasu i zniknąć. Za nimi biec zaczęły Tłółki, jej córka i synowa z dzieckiem na ręku. Zbiegli im jednak drogę żandarmi i bijąc nahajami popędzili na-
zad do chaty. Po dłuższej chwili żandarmi

stępsów, godzących w interesy szlachetnego narodu niemieckiego.

Nowe szcęknięcie i czterech drabów z blaszankami wypełnionymi benzyną podeszło ku chacie, oblało strzechę z czterech od razu stron i podpaliło. Ku niebu pokraśniałemu od łun wschodzącego słońca wyrósł w sekundzie potężny krzak płomienia, pokryty kędzierzawą czupryną dymu.

Tłum zafalował jakby w zamiarze rzucenia się na ratunek. Ale groźna postawa żandarmów, którzy w tej chwili zwrócili w tamtą stronę broń, osadziła go w miejscu. Znieruchomiał. Tylko szloch zerwał się ogromny, akompaniując beznadziejnie jękowi tamtych.

W pewnej chwili okno chaty otwarło się z trzaskiem lecących szyb i ręce młodej matki wyrzuciły zawinięte w poduszkę dziecko. Chciała za nim wyskoczyć sama, już przechyliła się, przez otwór, gdy sucho zagadał automat i tamta sflaczała nagle zawisła jak pusty worek na ramie okiennej.

Szloch tłumu rozrósł się nagle i spoteźniał jak pożar. Jakaś kobieta krzyczała histerycznie:

— Zabili ją, zabili!...

W tym momencie z porażonej bolesną martwością masy ludzkiej ktoś się zaczął wydzierać gwałtownie, roztrzaskając zastygłą w trwodze ciżbę. Z gestywności, szumiącej szlochem jak las burzą, wydarła się Bejdula. Z ogromnym krzykiem: ratujcie dziecko! — przerwała zbrojny kordon, skoczyła ku piskzącemu zawiniątku, porwała go i biegła z powrotem. Żandarmi wzięli ją na cel, ale jeszcze czekali... W tej chwili zapadł się z trzaskiem dach i nie wykryte gdzieś w słomie granaty czy miny zaczęły eksplodować. Lawiną odłamków z przebijającym gwizdem posypała się w krąg. Któryś z Niemców trafiony zwał się z jękiem: Herr Jesu... Reszta upadła, czołgając się w tył i kryjąc w zagłębieniach gruntu. Ludzie w szalonym popłochu rzucili się do ucieczki, przewracając się i przewalając jedni przez drugich.

Bejdula dobiegła prawie do linii leżących żandarmów, i już miała, już mogła ją bezkarnie przekroczyć, gdy prąśnięta w głowę odłamkiem, nie krzyknawszy nawet kicnęła, niby trafiony zając, przysłała białozłotą masą mózgu w stłamszoną zieleni trawy. Padła akurat przed oficerem, obryzgując go szczątkami mózgu i krwią. Eksplozje właśnie ustały. Oficer zerwał się, zielony z wściekłości i klnąc zaczął kopać drgające jeszcze zwłoki. Kopał z furją, aż trup przesunął się nieco odkrywając poduszkę z płaczącą rozpaczliwie dzieciną. Ziapał wtedy rozkrzyczany tobolek, podszedł ku gorzelisku i z zamachem rzucił go w sam środek płomieni.

W tej właśnie chwili zapadła się poważa. Ponad sykiły trzask wydarł się jeszcze jeden potężny i ostatni krzyk przysypanych ogniem ludzi.

Oficer wytarł pięknie utrzymane ręce rucchem Piłata, oczyścił się chusteczką, przyczesał sfalowane kędziory i zapaliwszy cygaro dał rozkaz odjazdu.

Józef Bieniek



Powrót z pola

T. Kulisiewicz

Paulina Czyżowa

Dwa filmy o emancypacji kobiet

Już w epoce uwłaszczania, za czasów Orzeszkowej, a potem coraz bardziej w miarę pogłębiania się upadku dworów i folwarków w Polsce podnosiło się znaczenie kobiety pracującej. Panny ze dworu, gdy znalazły się na bruku miejskim, szukały pracy jako nauczycielki, guwernantki lub po prostu płatne damy de compagnie, te zaś, które pozostały na wsi, musiały ulec nowemu wzorowi kobiety, jaki nieśli ze sobą parweniuse, wkupujący się w ziemię i w sferę ziemską. Ten nowy wzór to dobra gospodyni, kobieta z głową do kalkulacji, umiejąca w męskim stroju nie tylko przy boku kochanka paradować na koniu, ale doglądać robotników w polu.

W małych kresowych folwarkach szczególnie wiele musiało być przykładów kobiecej zaradności i uporu, dzięki którym warstwa szlachecka trzymała się tam przy ziemi i nogami i utrzymywała folwarki w swoim posiadaniu, jak długo było można. Kronikarzem tego kobiecego uporu i zaradności była np. Rodziewiczówna.

I oto ubawi nas nieco i zdziwi w angielskim filmie „Miłość Joanny Godden” odnalezienie (w latach po r. 1900) angielskiego wydania ideału Rodziewiczówny, kobiety-gospodarza. Tylko jakie to angielskie wydanie! Jak zewnętrznie w stylu niepodobne do naszych kresowych pańien, otoczonych fraucymerem brudnych ruskich dziewczek i parobków. Ale w zasadzie czyż to nie sytuacja wielu bohatererek Rodziewiczówny, ta w której znalazła się Joanna Godden?

Było to tak. Umarł ojciec, właściciel hodowlanej farmy nad morzem, pozostawiając starszej córce cały majątek wraz z zaleceniem poślubienia sąsiada — syna swego przyjaciela. Joanna nie przyjmuje od razu propozycji małżeńskich Artura, postanawia zupełnie sama prowadzić gospodarstwo. „— Oszalałaś — odpowiada Artur. — Biorę ją (farmę) na dobrą lub złą dolę”.

Samodzielne gospodarowanie kobiety jest czymś tak niezwykłym, że sąsiedzi gorszą się, służba nie zamierza słuchać pani.

Ale mało tego, że kobieta łamie głowę nad rachunkami gospodarskimi, postanawia zaprowadzić **postępowe** formy gospodarki, zastosować takie krzyżowanie owiec, do jakiego hodowcy nie byli przekonani, zaczywać pastwiska pod paszę, czego dotychczas nie stosowano. W klubie farmerów pierwsza kobieta wnosi czynnik postępu gospodarczego. Co prawda, pożał się Boże, w dalszej akcji filmu wątek ten nie zostaje w ogóle podtrzymany, ponieważ chodzą już raczej o perypetie miłosne bohaterki. Ale i to nie jest bez znaczenia dla obchodzącej nas sprawy. Joanna Godden, wyposażona we wszystkie cnoty: gospodarną, dobrą, hojną, pobożną, skromną (np. przy całej swojej postępowości gorszy się siostrą,

która nie nosi gorsetu) i surowa — jest w sprawach miłosnych głupia i kapryśna kobieta.

Oczywiście, małżeństwo jest dla niej rezygnacją z ambitnych planów gospodarczych. System folwarcznej gospodarki pozostawia jej przy boku męża rolę pomocnicy, najniższej — rolę rozumiejącej i dobrej żony, ale małżeństwo jest dla niej jako dla gospodarza — kapi-tulacją. Władzę nad gospodarstwem i nad rodziną obejmuje mąż.

Ideał kobiety dla sfery ziemianko-folwarcznej, znajdującej się w epoce upadku to kapryśne pomieszanie tradycji i „postępowości”, poprzez którą klasa ginąca czepia się przyszłości. Analogia między filmem o Joannie Godden a Rodziewiczówną jest na pozór fantastyczna, ale nie bezzasadna. Te same obyczajowe wątki: gorset, skromność, hojność na cele religijne i sentyment dla starego zegara, który ktoś komuś podarował w rodzinie. A przy tym owo: „Jestem zwolenniczką postępu, np. krzyżowania owiec”...

Film „Miłość Joanny Godden” — doskonały technicznie, a godny politowania od strony ideologicznej, film przecukrzony i przepachniony sentymentalizmem schyłku, pokazuje, jakim zaufaniem życia społeczno-gospodarczego Anglii było rolnictwo i klasa posiadaczy wiejskich w owej epoce. Rok 1905, w którym odbywa się akcja filmu, to okres wzmoczonego wzrostu uprzedmiotowienia Anglii i upadku do reszty wsi, która nie wytrzymała konkurencji z produkcją rolną Ameryki. Farmerzy pokazani w filmie to zacofani tradycjonalisci, którzy postawę Joanny Godden traktują jako zwykłe dziwactwo.

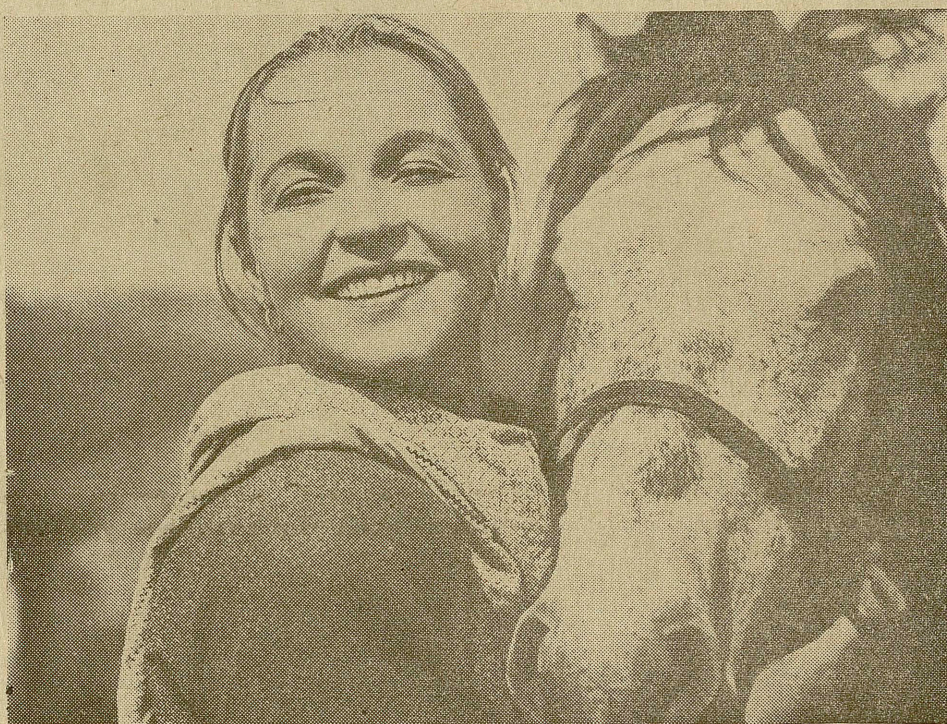
W ogóle sama sprawa emancypacji kobiet w ustroju kapitalistycznym rozgrywająca się w sferze obyczaju i prawa była wnoszeniem jeszcze jednej poprawki do kapitalizmu, nie mogła być rozstrzygnięta w kapitalistycznym systemie rodziny.

Dalsze dzieje rzeczywistej emancypacji kobiety toczyć się będą już na innym gruncie. Ilustracją do nich mógłby być przedwojenny film radziecki „Ziemia woła” („Członek partii” — „Członek partii”). Film ten może być również znakiem przykładem realizmu z ducha Gorkiego i Szolochowa, do którego powieści „Zorany ugor”, gdzieś tam nawiązuje.

Rok 1930. Okres organizacji kolchozów, za- ostrzonej walki klasowej na wsi radzieckiej, między kulkami i biedotą wiejską. Najaktualniejsza sprawa społeczna wsi staje się wówczas sprawa średniaków, tej wahającej się grupy wsi, która stanowi większość i którą trzeba zdobyć dla kolchozu. Właśnie od konfliktu w sprawie średniaków między przedstawicielem władzy a wiejską kobietą rozpoczyna się film. Ta właśnie kobieta wiejska w rozmowie z sekretarzem rejkomu oka-



Z filmu radzieckiego „Ziemia woła”



Z filmu radzieckiego „Ziemia woła”

zuje się mimo babskiej naiwności w pełni uświadomionym członkiem kolchozu, zostaje przez zebranie kobiet wysunięta na przewodniczącą kolchozu i zostaje nią pomimo sprzeciwu męża. I tu rozpoczyna się istotny dramat rodzinny, który jest ściśle powiązany z akcją społeczną, z rozwojem kolchozu i organizowaniem nowego porządku na wsi. Ten dramat rodzinny, a raczej przełom w życiu rodziny jest po prostu przez ten nowy porządek wyznaczony.

Funkcję przewodniczącej kolchozu rozbija ją rodzina Sokołowych. To samo dzieje się z innymi rodzinami w filmie wówczas, gdy zarysowuje się różnica poglądów i stosunku do kolektywu. O zgodzie i spójni rodziny nie decydują już interesy wewnętrzno-rodzinne, ale po prostu „nasz”, czy „nie nasz” człowiek. Cóż się stało? Dramat miłosny i dramat rodzinny ukazany w filmie „Ziemia woła” jest najzupełniej równoległy do akcji szerszej, do przemian społecznych tak zasadniczych dla wsi, przeniesionej w swej dawnej strukturze w nowy ustrój socjalistyczny. Dotychczas rodzina na indywidualnym gospodarstwie była nie tylko całością obyczajową, była przede wszystkim **jednostką gospodarczą**. Gospodarka zbiorowa, kolchoz, pozbawiła rodzinę cech gospodarczej odrębności i w tych warunkach rolę członków rodziny uległy radykalnej zmianie.

„— Kto tu jest gospodarzem? Ja, czy ty?” — pyta Sokołowa swą zbuntowaną przeciwko jego władzy żonę. I na to pytanie odpowiada sobie sam negatywnie, odchodząc z domu, zostawiając dzieci i żonę, której nie może dorównać. W nowym ustroju wsi kobieta uzyskuje znaczenie i — może początkowo tylko — przewagę, ponieważ gospodarz przestaje znaczyć jako głowa rodziny, a kobieta bardziej bezpośrednio zainteresowana jest w wyżywieniu dzieci. Znaczenie gospodarza ustępuje miejsca znaczeniu jego jako członka kolektywu i mierzy się jego funkcją w życiu **zbiorowości, jego osobistym** a nie rodzinnym (przy pomocy innych członków rodziny) wkładem pracy.

Toteż po swoim powrocie Sokołowa zrozumiał, że nie w domu i rodzinie powinien współzawodniczyć z żoną w zdobyciu znaczenia społecznego, ale na terenie gospodarki

kolchozowej. Zostaje kierownikiem działu, fachowcem, wzywają go do rejkomu na narady. Tymczasem Aleksandra zdobywa jeszcze wyższy awans — zostaje posłanką, członkiem Najwyższej Rady. Awans społeczny Aleksandry spod męzowskich pięści, garów bogaczy wiejskich i całowania ich rąk dokonał się dzięki zmianie ustroju, ale dokonał się poprzez jej moralną i upartą walkę z oporem kolchozników, którzy nie chcieli pracować, ze złośliwością i zawzięcia odsuwanych w cień starych agronomów i polityków, ale przede wszystkim z własnym nieuctwem, z własną słabością i osamotnieniem.

Także młodzi w kolchozie uzyskują nową pozycję. Jak pokazuje prof. Chałasiński („Społeczeństwo i wychowanie”), młodzi i nierodzinni ludzie w kolchozie uzyskują znaczenie w nowych funkcjach, np. technicznych: kawalerowie i panny — traktorzyści. Ten problem to właśnie problem tworzenia się na wsi miejsc funkcyjnych dla nowych zawodów, problem wiejskiej inteligencji. Kolektywna organizacja wsi wysuwa samorzutnie zapotrzebowanie na własnych techników, agronomów, lekarzy, pielęgniarki itd. Wówczas kolchoz zainteresowany jest bezpośrednio w zawodowym kształceniu młodych. Ten proces tworzenia się nowej inteligencji wiejskiej ukazuje film od podstaw w jego stawianiu się.

Realistyczny anty-estetyzm filmu o Aleksandrze Sokołowej potwierdza jego surową prawdę.

Wkrótce ujrzymy na ekranach oba filmy (angielski i radziecki) o emancypacji kobiety ziemianstwa i burżuazji i o emancypacji kobiety z ludu. W kapitalizmie i w socjalizmie!

ADMINISTRACJA
PRZYPOMINA O WPLACIE
ZALEGŁEJ PRENUMERATY
ZA ROK 1948



Bohaterka filmu produkcji angielskiej „Miłość Joanny Godden”

Czesław Wycech

Przemiany szkoły podstawowej

(artykuł dyskusyjny)

Przypomnijmy dwa fakty. W 1937/38 mieliśmy w klasie pierwszej 875 tysięcy uczniów, a szkołę powszechną kończyło 262 tysiące, co znaczy, że tylko 30 proc. uczniów wchodzących do szkoły kończyło najwyższą klasę. 70 proc. uczniów opuszczało szkołę bez jej ukończenia. Mieliśmy nadto olbrzymi odsetek uczniów powtarzających dwa lub trzy razy te same klasy w ciągu nauki szkolnej; było to olbrzymie marnotrawstwo społeczne. Chłopi w swych pamiętnikach skarżyli się na złą szkołę. Niska wartość szkoły wynikała nie z winy nauczyciela, chociaż i o jego pracy można by dużo powiedzieć, lecz z jej wad ustrojowych. Kryzys szkoły powszechnej był organiczny, strukturalny, tak jak strukturalnym jest kryzys kapitalizmu. Dlatego stoi dziś przed nami zagadnienie podniesienia wartości szkoły, co wiąże się ze sprawą kształcenia nauczycieli, reformy programów i podręczników, unowocześnienia techniki nauczania, lecz przede wszystkim wymaga zmiany organizacji szkoły, przebudowy jej struktury.

Organizacja szkoły podstawowej jest przestarzała. Olbrzymi odsetek naszych szkół niżej zorganizowanych obciążają tradycje szkolki parafialnej, jakby jeszcze z okresu pańszczyźnianego, organizowanej przez „dobrych panów” dla ludu.

Wiesz odziedziczyła w zarodku przewagę szkół niżej zorganizowanych, w których uczeń kończy naukę najczęściej w klasie czwartej, w dodatku o skróconym programie. Ale bo też stosunkowo łatwo zorganizować pełne szkoły o dużej ilości nauczycieli w miastach czy większych wsiach — znacznie trudniej w małych wioskach. Trudno dlatego już dziś wymagać od państwa, ażeby w każdej małej wsi o 30 czy 50 dzieciach mogło organizować szkoły z siedmioma nauczycielami. Na tak wysoki wydatek nie mogą zgodzić się nawet bogate i niezniszczone kraje, te zresztą z przyczyn ustrojowych. Jakże zasady należy przyjąć, by wprowadzić nowoczesną organizację szkolnictwa powszechnego zarówno na wsi jak i w mieście?

Pierwsza zasada — to zmniejszenie obciążenia nauczyciela dziećmi. Normy winny być podyktowane wynikami badań z zakresu biologii, psychologii dziecka oraz jego socjologicznych warunków życia. Obciążenie to nie może przekraczać 40 uczniów na nauczyciela. W ustawie o zakładaniu i utrzymywaniu szkół z dnia 7 lutego 1922 roku normy dla małych obwodów wiejskich były wyższe, a dla dużych obwodów niższe. A powinno być odwrotnie — należy obniżyć liczbę dzieci na nauczyciela w obwodach mniejszych, gdyż tylko na tej drodze będzie można olbrzymią ilość szkół przekształcić na szkoły wyżej zorganizowane, o pełnym programie szkoły siedmioklasowej. Wyjaśnię to na przykładzie. W roku 1946/47 mieliśmy 677 szkół o jednym nauczycielu z liczbą uczniów od 101 do 150 w każdej z nich. Otóż przyjmując normę 25 uczniów na nauczyciela w rzeczywistości te szkoły można przekształcić od razu

na szkoły o 4 lub 6 nauczycielach. Jaką należy przyjąć zasadę? W obwodach szkolnych do 50 dzieci winna być szkoła o 1 nauczycielu, w obwodach od 51 do 70 dzieci szkoła o 2 nauczycielach i w obwodach od 71 do 100 dzieci szkoły o trzech nauczycielach, na każde zaś nowych 40 dzieci ponad normę winien podnosić się w obwodzie szkolnym stopień organizacyjny szkół.

Druga zasada — to utworzenie dwu promieni obwodów szkolnych. Uczniowie klas od I do IV włącznie winni być obowiązani do odbywania drogi najwyżej do trzech kilometrów, natomiast uczniowie od klasy piątej mogą być przez władze szkolne zobowiązani do chodzenia do 4 km; na dalszą odległość musieliby być dowożeni przez gromady.

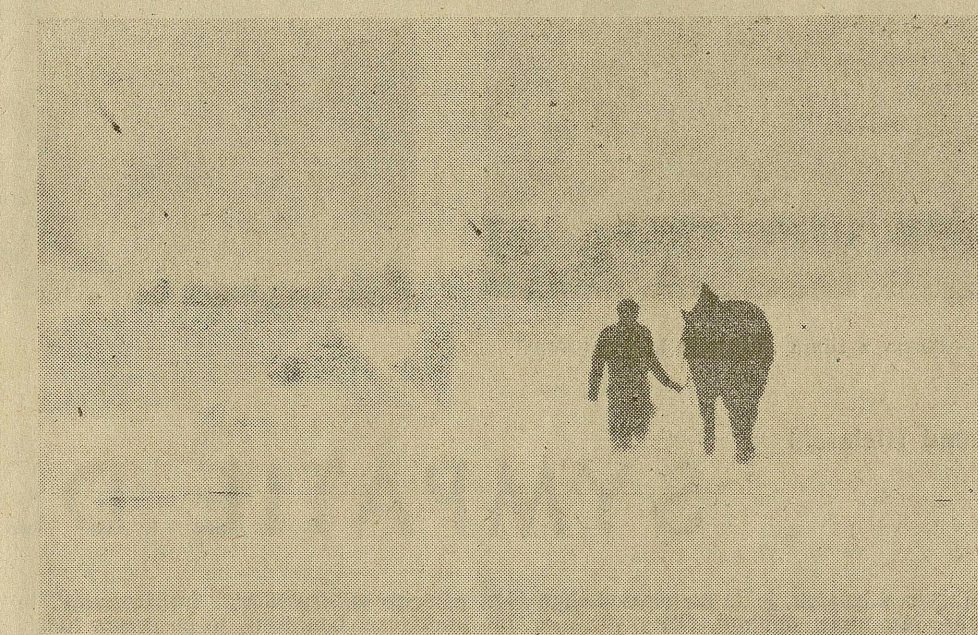
Trzecia zasada — to stworzenie dwu form organizacyjnych szkół: szkoły pełnej i szkoły niepełnej. Obie formy mają jednakowy program nauczania, czym się różnią od przedwojennego podziału szkół na stopnie. Szkoła niepełna realizuje tylko część programu szkoły powszechnej, gdy w ustroju trzystopniowym z okresu sanacji nawet szkoła o jednym nauczycielu uczyła ucznia siedem lat i miała wykonać skrócony program siedmiu klas szkoły powszechnej, czego oczywiście nigdy nie osiągnęła, bo nawet najgenialniejszy nauczyciel nie mógł sam, w dodatku z dużą ilością dzieci, wykonać pełnego programu szkoły siedmioklasowej. W proponowanej po wojnie organizacji szkoły powszechnej — szkoły o 1 i 2 nauczycielach są niepełnymi, a więc wykonują tylko 4 lub 6 klas szkoły powszechnej, a po ich ukończeniu uczniowie będą obowiązani uczęszczać do szkoły pełnej, mającej więcej nauczycieli i realizującej pełny program szkolny — siedem klas. Do tych szkół wyżej zorganizowanych będą uczęszczać uczniowie ze szkół niepełnych, dlatego nazwano je zbiorczymi. Przy małym obciążeniu szkoła o jednym nauczycielu może wykonać program czterech klas, a szkoła o dwu nauczycielach program sześciu klas.

Przyjmując powyższe zasady obciążenia według szacunkowych obliczeń, opartych na danych zagęszczenia klas z 1946/47 roku, liczba szkół o jednym nauczycielu spadłaby z 8460 na około 3000, czyli spadłaby z 39 na 15 proc. Liczba uczniów przy maksymalnym nawet obciążeniu spadłaby z 480 tysięcy na 80—90 tysięcy, czyli w szkole o jednym nauczycielu uczyłoby się do 2,5 proc. ogółu uczniów (dziś uczy się 13,6 proc.). Dalej około 65 tysięcy uczniów z roczników V, VI i VII uczęszczałoby do klas piątych, szóstych i siódmych do szkół zbiorczych w sąsiednich obwodach.

Liczba szkół o dwu nauczycielach spadłaby z prawie 5000 do liczby około 2500. W szkołach tych uczyłoby się najwyżej 150 tysięcy uczniów (dziś uczy się 490 tys.), czyli około 4 proc. (obecnie 14,5 proc.) i około 20—25 tysięcy uczniów z rocznika siódmego musiałoby uczęszczać do klasy siódmej w sąsiednich obwodach.



Do szkoły



„Dziś”

Przez przyjęcie powyższych zasad organizacyjnych zmienia się całkowicie oblicze szkoły powszechnej. Odsetek dzieci w szkołach niepełnych o 1 i 2 nauczycielach spada z prawie 30 proc. na 6—7 proc., natomiast około 80 proc. ogółu dzieci uczęszczałoby do szkół najwyżej zorganizowanych — a więc o 4 i więcej nauczycielach.

Norma obciążenia w obwodach o małej gęstości zaludnienia, a więc mających szkoły niepełne, wahać się będzie od 25—30 uczniów na nauczyciela, natomiast w obwodach gęściej zaludnionych, a więc mających szkoły pełne, wahać się będzie od 35 do 40 uczniów.

Jakie wyniki dają nam przyjęte zasady? Po pierwsze zmniejszamy do minimum koniecznego ilość szkół niepełnych; przeszło 80 proc. dzieci uczęszczać będzie do szkół pełnych, posiadających siódmą klasę. Po drugie: zmniejszamy obciążenie nauczyciela uczniami, a zatem podnosimy wartość nauki szkolnej. Wówczas to nie 30 proc. lecz przeszło 90 proc. uczniów klasy pierwszej skończy klasę siódmą; zmaleje bardzo wydatnie ilość uczniów powtarzających klasy. Klasa drugoroczności przestanie prześladować naszą szkołę. Szkoły niżej zorganizowane były stałym źródłem dostarczającym analfabetów powrotnych — w tej organizacji źródło to zniknie, bo każdy uczeń będzie miał możliwość ukończenia klasy siódmej szkoły powszechnej.

Nauka ucznia i praca nauczyciela w szkołach mało zagęszczonych będą wydajniejsze. Utrzymywanie dużej ilości szkół nisko zorganizowanych i przeludnionych — to fikcja powszechności nauczania. Tego rodzaju fikcję likwiduje Polska Ludowa.

Opisana wyżej reorganizacja szkół wymagać będzie bardzo wydatnego zwiększenia liczby nauczycieli. Celem poprawienia struktury organizacyjnej szkoły powszechnej oraz objęcia wszystkich dzieci obowiązkiem szkolnym potrzeba by około 95 tysięcy nauczycieli (liczba globalna i szacunkowa). W budżecie na rok 1949 przewidziano 81,5 tysięcy etatów nauczycielskich, a zatem brakować będzie około 13,5 tysięcy nauczycieli. W najbliższych latach spadnie liczebność roczników „wojennych” dzieci w wieku szkolnym, a w związku z tym może ulec zmniejszeniu liczba nauczycieli. Jednak za parę lat wejdziemy w okres wzmożonego przyrostu dzieci i wobec tego liczba nauczycieli będzie się musiała znów podnosić.

Czy możemy sobie pozwolić na tak duże kadry nauczycielskie?

Polska posiadała w latach międzywojennych najwyższe obciążenie nauczyciela uczniami, które w 1937 r. wynosiło 61,7. Jedynie Grecja posiadała obciążenie wyższe (63,9), kraje nadbałtyckie, bynajmniej nie bogatsze od nas, jak Finlandia, obciążenie — 31,0. Rządy sanacyjne i przedmujowe nie prowadziły polityki oświatowej zgodnej z interesami ludu, nie troszczyły się o rozwój dobrej szkoły powszechnej. Dlatego też ustalały wysokie normy obciążenia nauczyciela, zaniedbały całkowicie sprawę wewnętrznego urządzenia szkół; również leniwie posuwała się naprzód sprawa budownictwa szkolnego. Dziś trzeba stanowczo i szybko zerwać z linią i obciążeniami przeszłości. Na rok 1949 przewidziano przekształcenie 1700 szkół o jednym nauczycielu na szkoły wyżej zorganizowane. Jesteśmy przekonani, że tempo to wzrośnie w latach następnych, że w ciągu planu sześcioletniego całkowicie zreformujemy szkołę powszechną.

Z zagadnieniem reformy szkoły podstawowej łączy się wiele spraw, jednak najważniejszą z nich jest sprawa nauczyciela. Problem nauczycielski ma wiele stron. W dziedzinie materialnej zrobiliśmy wielki krok naprzód. Ostatnia podwyżka uposażeń bardzo wydatnie polepsza byt nauczycielski. Do rozwiązania w najbliższej przyszłości stanowią sprawą opłat za godziny nadliczbowe, co posiada duże znaczenie dla nauczycieli wiejskich. Druga strona sprawy nauczycielskiej —

to zagadnienie kwalifikacji. Świat nauczycielski od czterdziestu lat stawia postulat wyższego kształcenia nauczycieli. Oczywiście postulat kształcenia wszystkich nauczycieli na najbliższe lata jest nierealny. W najbliższych dziesięciu latach główną drogą kształcenia nauczycieli będzie kształcenie na poziomie średnim. Do wykształcenia nauczyciela szkoły powszechnej do 1933 roku potrzeba było 12 lat (7 lat szkoły powszechnej i 5 lat seminarium). Obecnie kształcenie trwa tylko 11 lat (7 lat szkoły powszechnej i 4 liceum pedagogiczne — łącznie ze swą skróconą podbudową). Skrócenie po wojnie czasu kształcenia nauczycieli było uzasadnione potrzebą szybkiego uzupełnienia braków w kadrze nauczycielskiej. Rozmówiliśmy już się o zakładach kształcenia nauczycieli — obecnie liczba liceów pedagogicznych zaspokaja potrzeby corocznego przyrostu etatów w ramach planu sześcioletniego. Braki w kadrze zostały uzupełnione, nauczycielami niekwalifikowanymi, którzy na drodze doksztalcenia podciągają się do poziomu wymaganego.

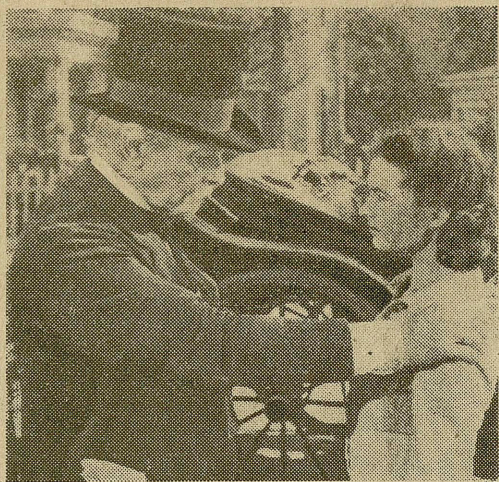
Państwo — podejmuje również na szeroką skalę stałe doksztalcenie czynnych nauczycieli szkół powszechnych. Tu w szczególności należy popierać doksztalcenie na poziomie wyższym. (Dotychczasowe formy wymagałyby pewnej rewizji).

Przedwojenną szkołę powszechną nazywał Chałasiński szkołą „pańską”. Na „pańską” szkoły składało się wiele elementów. Przede wszystkim program, który nie uwzględniał dorobku chłopca i jego wywoleńskich dążeń (np. nauka historii Polski była nauką o królach i szlachcie), dalej rozlicie procesu dochodzenia do kultury na krąg pański (inteligentów mieszczańskich) i ludowy i wreszcie sama postawa nauczyciela wobec chłopów i wsi. W zawodzie nauczycielskim mieliśmy również jednostki „wysierzone”, które aczkolwiek wyszły ze wsi, to jednak zrywały z nią więzy społeczne. Pod względem politycznym mieliśmy nauczycieli ludowców, liberałów, socjalistów, endeków, kleryków, wielu nauczycieli podlegało wpływowi dworu i plebanii, ostatnio sanacji.

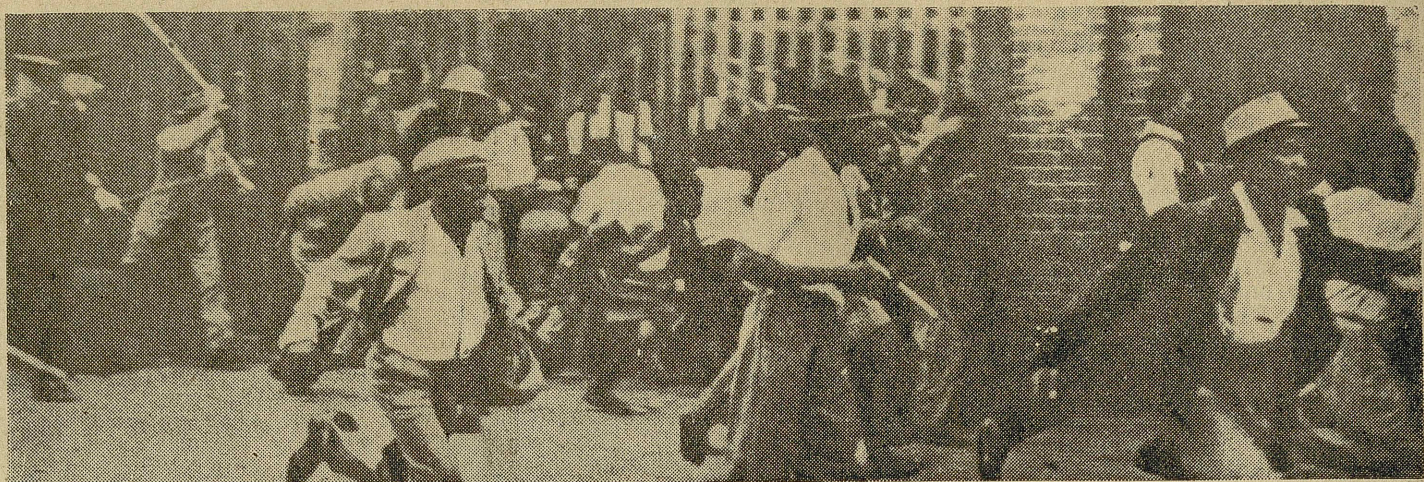
Obiektywnie trzeba jednak stwierdzić, że nauczycielstwo spośród naszych grup inteligentnych było najbardziej postępowym (w swej masie) środowiskiem. Na jego to podbudowie wyrosło piarstwo W. Wasilewskiej i Wł. Kowalskiego. Polityczność tych pisarzy poprzez ten krąg inteligencji polskiej (nauczycielskiej) okazała się naprawdę rewolucyjną, naprawdę „przyszłościową”. Dziś, gdy weszliśmy na drogę budowania nowego ustroju społecznego, pełnej sprawiedliwości społecznej bez krzywdy i wyzysku trzeba nowych ludzi, i zmiana postawy całego nauczycielstwa w tym duchu jest warunkiem koniecznym dokonywanej reformy szkoły podstawowej — jest koniecznym warunkiem w procesie wychowywania obywatela Polski Ludowej.

W NUMERZE 9 (188) TYGODNIKA „WIEŚ”
Z DNIA 27 LUTEGO 1949 R.

Wacław Kubacki — Mickiewicz — publicysta; Marian Niewiarowski — Bohater naszych czasów; 31 rocznica armii radzieckiej (Listy żołnierzy radzieckich do pisarzy); Stefan Morawski — T. S. Eliot — laureat Nobla 1948 r.; Czesław Wycech — W walce ze starą strukturą szkolnictwa podstawowego; Roman Bratny — Tłumacz; Henri Claude — Na obecnym etapie planu Marshalla; Michał Rekas — Warunki na „chłopski radykalizm”; Józef Pogan — Zmierzch ludowej piosenki; Władysław Blachut — Kalendarz Komunistyczny; Stanisław Orzeł — List z Tarnobrzega; Jerzy Cios — Krok w przód, krok w tył; Piotr Chmura — Pozytywny bohater; Józef Pięta — Przypadki Włoka i Wacka; Fakty i zdania, 19 ilustracji, 12 stron.



Scena z filmu „Przeminęło z wiatrem”



Współczesna scena uliczna..

Edmund Nizlurski

SYMPATIE DLA AMERYKI^{*)}

„Najlepsza z książek, jakie czytałam. Lekko napisana. Nie nudzi opisami. Nie mędrkuje. Ma szybką, ciekawą akcję”.

„Daje się czytać zawsze: w pociągu i do poduszki. Nie wymaga specjalnego przygotowania”.

„Pyszne typy: geniusz przedsiębiorczości w spódnicy i okaz prawdziwego mężczyzny”, w którym zakochać się musi każda czytelniczka”.

„...Z łatwością przenosi nas w inny kraj i w inne czasy, tak że czujemy się tam jak u siebie w domu”.

„Subtelna krytyka minionych ludzi i obyczajów. Śmiejemy się z nich, lecz często z łezką sympatii w oku”.

„...Bo właściwie jest to powieść smutna. Nierozwikłalne problemy, marzenie i rzeczywistość, cel i środki. Lecz przecież nie budzi sprzeciwu i nie rozdrażnia”.

Czy to przedwojenna reklama jakiejś literackiej szmiry?

Nie, to tylko kilka autentycznych głosów czytelników i czytelniczek najpopularniejszej podobno wg statystyk amerykańskich książki świata: „Przeminęło z wiatrem” Margaret Mitchell.

Jest rzeczą charakterystyczną, jak mało umie czytelnik drobnomieszczański powieść o książce, którą się przecież zachwyca.

Trudno się dziwić. Właściwa i zasadnicza przyczyna poczytności tej książki leży dość głęboko i nie dociera zazwyczaj do świadomości przeciętnego czytelnika. Tu bowiem chodzi o coś więcej niż o zwykłe „podoba mi się”. Tu mamy do czynienia z wypadkiem idealnego niemal zaspokajania drobnomieszczańskich gustów, klasycznego „przylegania” do drobnomieszczańskiej mentalności. Nie popełnimy chyba przesady twierdząc, że analiza choćby pobieżna „Przeminęło z wiatrem” rozwiąże nam arcyciekawe zagadnienie poczytności książek literacko drugorzędnych wśród czytelników znajdujących się pod ciśnieniem kultury mieszczańskiej.

Treścią powieści są dzieje Scarlett O'Hara — młodej Amerykanki z Południowych Stanów, córki zamożnego plantatora bawełny, osnute na tle wojny domowej w Stanach Zjednoczonych w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia. Powieść jest rzeczywiście napisana bardzo popularnie, rzeczowym, epickim językiem i nie stwarza dla czytelnika, nawet niewyrobionego, żadnych trudności natury formalnej.

W osobowości bohaterki powieści, owego geniusza przedsiębiorczości w spódnicy, czytelnik z przyjemnością odkrywa kolekcję kardynalnych cnót mieszczańskich, wszystko, co sprzyja szybkiemu gromadzeniu majątku. Ponieważ zaś przywykły przyziemne cele ubierać w piórkę idei, z przyjemnością stwierdza fakt, że bezwzględne i nie zawsze moralne postępowanie Scarlett uświęca autorka wyższym i szlachetniejszym celem, a mianowicie ratowaniem od ruiny Tary — rodzinnego gniazda bohaterki.

Przy sposobności zahaczamy o stary problem kwadratury koła mieszczańskiej moralności, którego teoretyczne roztrząsanie pasjonuje lepszą część kapitalistycznego świata: jak rąbać drzewo, żeby nie leciały drzazgi, czyli jak dojść do cnoty i bogactwa bez rozpychania się łokciami?

To smutne zagadnienie tkwi jak uparty kołek w literaturze kapitalistycznej. Nie można załatwić się z nim tak dyskretnie, jak z kwestiami społecznymi. Na kwestię społeczne jest zawsze lekarstwo. Wystarczy, jeśli autor zrezygnuje zaaplikuje solidną dawkę optymistycznego solidaryzmu społecznego. Na przykład w „Przeminęło z wiatrem”, w książce, której tem są najbardziej typowe przemiany społeczne, w kraju o wybitnym charakterze klasowym — kwestii społecznej nie ma. Zginęła w oparach solidaryzmu. Autorka utopiła ją w sosie lokalnych patriotyzmów. W powieści walcą „Północy” z „Południem” to nie starcie dwu systemów gospodarczych i społecznych, lecz jakiejś porachunki honorowe, jakieś tam nieporozumienia prowincjonalne. Yankesi to

nie północno-amerykańscy bussinesmeni, to nie praktyczni bourgeois, to po prostu ludzie o złych manierach. Południowcy — to nie deklasujący się obszarnicy, amerykańscy panowie feudalni, to nieszczęśliwi obrońcy honoru, wydziedziczeni i prześladowani patrioci.

Lecz, operując kryteriami czytelników, „najprzyjemniej” postawiona została w książce sprawa niewolnictwa, owej hańby cywilizacji XIX wieku.

Okazuje się, że sprawa Murzynów wpłynęła dopiero na skutek nieproszzonej interwencji Yankesów. Przedtem nie istniała. Autorka roztacza przed nami sentymentalne obrazy sielankowego życia niewolników murzyńskich, wiernych murzyńskich sług i patryonalnie usposobionych panów.

Oto znamienita wypowiedź stangreta Piotra, czarnego zausznika konfederackiego pułownika.

— „Po co oni (Yankesi) wtrącają się do naszych spraw? Nie rozumieją nas, konfederatów.

— Przecież daj ci wolność.

— Nie, p'sze pani! Nie dali mi wolności. Nie dałbym się wyzwolić przez taką hołotę — rzekł Piotr z oburzeniem. — Ja jeszcze ciągle należę do panny Pitty, a kiedy umrę, ona mnie każe pochować w grobie rodzinnym państwa Hamiltonów...”

Zresztą autorka nie sił się nawet na przedstawienie właściwej warstwy niewolników. Murzyni, którzy występują w powieści

wyraźnie uznaje, że w stosunkach „Królestwa Bawełny” było ono zupełnie na miejscu z korzyścią dla obu stron.

Trzeba sięgnąć dopiero do współczesnych stosunków amerykańskich, by ta postawa wydała się zrozumiała.

Niepozbaniona słuszością jest wypowiedź, że „Przeminęło z wiatrem” bardzo łatwo przenosi czytelnika w czasy wojny secesyjnej i pozwala mu się tam czuć jak u siebie w domu. Dzieje się to dlatego, że powieść nawiązuje do cichego sojuszu kapitalizmu z feudalizmem, że stara się spełnić rolę „arki przymierza między nowymi a dawnymi laty”. Przez aprobatę gospodarności Scarlett powieść zbliża się do małej epopei mieszczańskiej. Lecz przez zdecydowanie ujemne potraktowanie Yankesów uwypukla zarazem sentyment dla stronników Konfederacji, dla tych co „przeminęli z wiatrem”. Stąd ogólny wydzwięk uczuciowy książki: jest mniej więcej tego rodzaju: „Tamte czasy były lepsze i piękniejsze, lecz skończyły się bezpowrotnie, przeto zachowując o nich dobrą pamięć, trzeba się nauczyć nowego życia”. Przypomina się asnykowski: „Trzeba z żywymi naprzód iść...”

Powyższy dualizm, typowy dla poglądów mieszczańskich, silnie występuje w omawianej książce. Wprawdzie krwawą zabawę w Ku-Klux-Klan uważa autorka za nonsens, niemniej nie podważa słuszości samych założeń Klanu. Wprawdzie delikatnie wy-

człowieka typu uomo finito, romantyka nie potrafiącego przystosować się do nowych warunków. Miłość ta nie wytrzymuje próby rzeczywistości i Scarlett dojdzie ponieważ się do wniosku, że właściwie kochała tylko Retta. Rett, najlepsza kreacja powieści, jest ostrą przyprawą do tego melodramatu Południa. Reprezentuje on typ enfant terrible. Za jego pomocą autorka przeprowadza krytykę opisywanego środowiska. Na pozór cyniczny łotr bez czci i wiary, w gruncie rzeczy gentleman — ideał mężczyzny w każdym calu.

Wielkie realistyczne dzieła powieściowe mają to do siebie, że uczą lepiej historii i socjologii niż podręczniki szkolne. Przystępując do czytania Balzaca można nie mieć pojęcia o Francji w pierwszej połowie XIX wieku, a mimo to na podstawie samej lektury „Komedii Ludzkiej” otrzymać plastyczną wizję tych czasów.

Zastanówmy się, jaką wizję społeczną o- trzymamy po przeczytaniu „Przeminęło z wiatrem” i skonfrontujemy tę wizję z wiadomościami teoretycznymi.

Okaże się, że powieść ta nie jest obrazem epoki, lecz fantazją przyszytą grubymi nićmi do płótna historii.

Jeśli można doszukać się tam powiązania z epoką, to wiemy te są tak przypadkowe i nikłe, że uchodzą uwadze przeciętnego czytelnika.

A przecież możliwości artystyczne, jakie dawało tworzyć, były ogromne. Wojna między Unią (Stanami Północnymi) a Konfederacją (Stanami Południowymi) była klasycznym przykładem kapitalistycznej ekspansji.

Chodziło o gospodarcze podporządkowanie rolniczego, na pół feudalnego Południa — przemysłowej, kapitalistycznej Północy i dostarczenie cierpiącemu wówczas na brak sił roboczych przemysłowi taniego robotnika. Zniesienie niewolnictwa, rozbięcie południowego systemu patronalnego wytworzyłoby proletariatu murzyńskiego, który w następstwie można było eksploatować w przemyśle.

Oczywiście na zewnątrz obie strony walczyły o zasłanianie się ideologiczną fasadą. Stany Południowe obroną prawa samostanowienia, Stany Północne — humanitarnym dążeniem do zniesienia niewolnictwa, czego wyrazem niech będzie popularna niegdyś „Chata Wujka Toma”.

Lecz żeby podcyfrować ten surowy obraz historyczny z „Przeminęło z wiatrem”, trzeba najpierw zdrapać wszystkie idealistyczne naloty, cały werniks solidaryzmu.

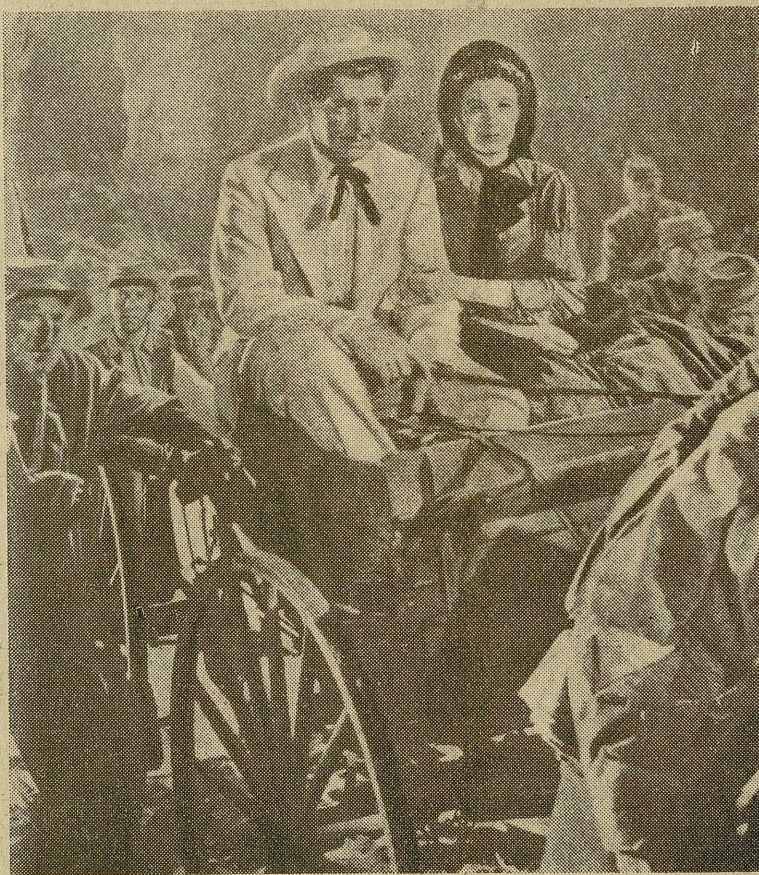
Po wojnie secesyjnej obserwujemy szybki proces deklasaacji ziemiaństwa Południowych Stanów. Jedynie ci, którzy jak Scarlett i Rett Butler za cenę odrzucenia dawnych poglądów a przyjęcia moralności zwycięzców i przystosowania się do nowej rzeczywistości, zdołają przeniknąć do klasy kapitalistycznej, mają szansę utrzymania się na nogach.

Niestety proces ten ukazany jest w książce jako funkcja pewnych zmian psychologicznych, a nie gospodarczych. Przeniesienie się Scarlett do miasta i prowadzenie przez nią tartaków zostało w powieści spowodowane wyłącznie chęcią ratowania zagrożonej ruiną rodzinnej plantacji.

Południowcy prędzej, niżby to wynikało z powieści, pogodzili się z inwazją kapitalizmu północnego. Czas uśmierzył niechęć do przemysłowej. Proces osmozy społecznej dokonał reszty. Południe wkroczyło w nowy okres prosperity, tym razem jednak nie sielankowej, lecz nerwowej, wielokapitalistycznej. Południowcy nauczyli się od Yankesów businessu. Yankesi od Południowców pogardy dla „kolonowych” i linzu.

Tak więc ostatecznie zwyciężone militarne Południe, mówiąc stylem romantyków, uratowało ducha, co więcej zdołało go rozprzestrzenić na resztę Ameryki. Nic więc dziwnego, że „Przeminęło z wiatrem” nacechowane jest kultem dla Południa. Lecz niestety nie pomaga to do wypowiedzenia artystycznej prawdy o Południu. By otrzymać wizję Południa bardziej zbliżonego do prawdy o Ameryce, trzeba nam spojrzeć oczyma co najmniej Williama Faulknera.

Tylko pytanie: co wtedy zobaczy drobnomieszczański czytelnik? Czy nie odwróci się z odrazą od tej wizji, aby poszukać nowej namiastki, uspokajającej go klasowo?



Scena z filmu „Przeminęło z wiatrem”

to, podobnie jak Piotr, wg słów autorki, Murzyni najlepszy, to rodzaj arystokracji niewolniczej, uprzywilejowana kasta, którą staranna selekcja przeznaczyła do zaszczytnej służby przy osobach państwa, to „Murzyni od pokojów”.

„Dawni niewolnicy stali się teraz panami stworzenia... Lepsza klasa Murzynów, gardząca wolnością, cierpiała nie mniej od swoich białych panów, Hordy jednak, które siły najwięcej zamętu, rekrutowały się przeważnie z klas wyrobników rolnych”.

Tak to problem murzyński został sprowadzony do zagadnienia wiernych lub niewiernych sług.

Czytelnik znów będzie za to wdzięczny autorce... W ten sposób uratuje się atmosferę swojskości i przytulności. Każdy na właściwym miejscu. Wiwat wszystkie stany!

Można się tylko dziwić, że szlachetna autorka opowiada się za niewolnictwem, a już

tyka tromtadrację polityczną, hurra - patriotyzm i śmieszności obyczajowe południowców tam wszędzie, gdzie kolidują z praktycznymi poglądami burżuazji (np. zgorzsenie, jakie wywołały w „towarzystwie” handlowe przedsięwzięcia Scarlett), to jednak z drugiej strony pełna jest podziwu dla „południowych” form życia (zwróćmy uwagę na to, dlaczego to Butler uważał Melanie za „prawdziwą damę”).

Mieszczaństwo przeżywało w swej historii słabość do arystokracji, chętnie przyznawało się do duchowych z nią koligacji, podziwiał styl życia i stanowisko społeczne feudałów. Podziw ten łączył się mniej lub więcej udanymi próbami naśladownictwa.

Lecz, jak widzieliśmy, czytelnika pasjonuje najbardziej centralny punkt powieści, a mianowicie problem miłości prawdziwej i urojonej rozwinięty na przykładach: Scarlett — Rett Butler i Scarlett — Ashley. Scarlett żyje złudzeniem miłości do Ashleya,

*) „Przeminęło z wiatrem” Margaret Mitchell, wyd. Mieczysław Fuksiewicz i S-ka, Warszawa 1948.

Edward Matuszewski

W RAJU GANGSTERÓW

„Nie można mówić o jakimś podziemiu w Stanach Zjednoczonych z tego prostego powodu, że bardzo trudno ustalić tam jakieś granice między kryminalnym przestępstwem, biznesem a działalnością polityczną”.

Powyższe zdanie wyjęte jest z książki Henry Rodsa: „Przestępcy na jakich zastużyliśmy”. Znajdują one potwierdzenie w danych statystycznych oraz w wiadomościach publikowanych przez prasę i wydawnictwa amerykańskie. Oto one: W 1936 r. zarejestrowano na terenie całych Stanów Zjednoczonych 1.333.626 przestępstw, czyli mniej więcej 1 przestępstwo na 100 obywateli amerykańskich. Cyfra ta obejmuje 13.242 zabójstw, 111.074 napaadów z bronią w ręku, 278.823 włamań, 213.712 kradzieży samochodów. Rozmach iście amerykański!

W roku 1940 cyfra przestępstw w Stanach Zjednoczonych wzrosła na przeszło półtora miliona, a prasa amerykańska obliczyła, że w ciągu minuty popełnia się w kraju wuj Sama przeciętnie 3 przestępstwa; co 44 minuty ma miejsce zabójstwo człowieka, co dwieście minut grabież, co 10 minut kradzież z włamaniem, co 3 minuty kradzież samochodu.

Jeśli komuś zginie samochód, nie jest to jeszcze takie straszne nieszczęście w porównaniu z zaginięciem człowieka, skoro w San Francisco ginie rocznie bez śladu 2000 ludzi, w Los Angeles 3 tys., w Filadelfii 5 tys., a w Nowym Jorku 13.000.

W roku 1947 zarejestrowano w Stanach Zjednoczonych 1.665.110 przestępstw. A jaka była interwencja amerykańskich władz bezpieczeństwa i sprawiedliwości?

Sędzia chicagowski Cavanah obliczył, że w Stanach Zjednoczonych w 1926 r. znajdowało się na swobodzie 135.000 morderców; inny prawnik określił liczbę nieukaranych przez amerykańskie sądy morderców w r. 1936 na 281 tysięcy. W roku 1940 zlikwidowano w Nowym Jorku „trust zabójców”, który wykonywał morderstwa na podstawie zawartych kontraktów handlowych. „Trust” (zostawiam słowo amerykańskie, gdyż brak mi polskiego) „przejawiał ożywioną działalność” na terenie całych Stanów Zjednoczonych, a likwidacja jego wykazała, że szereg kontraktów nie zostało wykonanych z powodu „nawatu pracy”.

Ile takich „trustów” działa jeszcze na terenie „ziemi (nie) obiecanej”? Trudno na to pytanie odpowiedzieć, by nie było ono jednak retorycznym, podam dwie cyfry z okresu walki z prohibicją (a wiadomo, że walka z alkoholizmem zamieniła się w Stanach Zjednoczonych w walkę z prohibicją — nie potrzebuje chyba przypominać, po której stronie było zwycięstwo). A więc: na 17.972 osoby zaangażowane do strzeżenia ustaw prohibicyjnych zwolniono z pracy 13.588 osób za to, że dawały się przekupić.

Branie łapówek stało się nagminne u amerykańskich władz bezpieczeństwa.

Spółeczeństwo amerykańskie zostało obrabowane w 1901 roku przez swoich gangsterów na sumę 1 miliarda dolarów, w 1925 r. na sumę 10 miliardów, a w 1937 r. (według danych dostarczonych przez szefa policji amerykańskiej Edgara Hoovera) „zyski” bandytów osiągnęły sumę 15 miliardów dolarów. Czyż można się więc dziwić, że „dla wszystkich starczy” — jeśli się już trzeba dzielić.

Czy można się również dziwić, że (zawsze wg źródeł amerykańskich) — dwieście kilkadziesiąt tysięcy osób winnych zabójstwa znajduje się w Stanach Zjednoczonych na wolnej stopie, a do więzienia zamykani są: Howard Fast, John Lawson, Albert Maltz i inni, za to tylko, iż pozwolili sobie na słowa krytyki pod adresem ustroju kapitalistycznego?

Melvin Parvins pisze w swej książce „Amerykański agent”, że wspaniały rozwój przestępczości w Stanach Zjednoczonych byłby niemożliwy, gdyby przestępczo nie było tam **businessem**. Istotnie — zbrodnia musi się opłacać, by warto było ją popełnić. Nie można się więc dziwić cytowanym przeze mnie cyfrom. Ustrój panujący obecnie w Stanach Zjednoczonych pozwala na traktowanie przestępstwa jako dobrego interesu.

Po okresie „indywidualnej inicjatywy” i okazjnych band gangsterskich oprowadzanych przez trusty i koncerty Ameryka znajduje się obecnie w okresie monopolizacji gangsterstwa w oparciu o zasady komercyjne. Tęczy to przede wszystkim zbytu przedmiotów ukradzionych i zrabowanych. W Stanach Zjednoczonych istnieją usankcjonowane przez prawo „agencje” handlowe, których zadaniem jest „odszukiwanie” skradzionych samochodów. „Agencje” są naturalnie jedynie filiami nielegalizowanego trustu gangsterów samochodowych.

Przestępczość w Stanach Zjednoczonych posiada jednak nie tylko aspekt handlowy. Jest ona narzędziem **walki politycznej**. Obie rzeczy dają się w Ameryce bardzo łatwo pogodzić. W kraju tym bowiem około miliona osób nie posiada stałej pracy, lecz mimo to nie uważa się ich za bezrobotnych. Są to tak zwani „politicians” — „politycy”, których zadaniem jest prowadzenie kampanii wyborczej, urabianie opinii publicznej, spełnianie obowiązków „gospodarza” w klubach partyjnych. Taki „gospodarz” zwany w Stanach Zjednoczonych „boss'em” staje się najczęściej „szarą eminencją” danego miasta. Połączenie obowiązków bossa z zawodem gangstera jest częstym zjawiskiem po tamtej stronie Atlantyku.

„Najpiękniejszym” przykładem takiej łączności gangstera z polityką, jest bodajże postać znanego w całej Ameryce Toma Pandergasta. Z szynkarza stał się gangsterem, następnie businessmanem, miejscowym partyjnym bossem, kończąc swoją karierę jako „polityczny przywódca na wielką skalę”.

Gangsterstwo jego zaczęło się już w szynku, w okresie prohibicji, a trwało w różnych formach aż do śmierci. Dzięki swym „wszechstronnym uzdolnieniom” Pandergast został wielkim kapitalistą, monopolizując handel cementem w stanie Missouri. Droga intryg doszedł do stanowiska bossa — polityka.

Będąc bossem w Kansas-City Pandergast był wielkim działaczem partii demokratycznej i jako taki otrzymał w 1938 roku z rąk Mussoliniego order Korony Włoch. Inny gangster chicagowski, Charles Luciano był przywódcą faszystowskiej organizacji „Związku Sycylijskiego”. Faszystą był również jeden z największych gangsterów w Kansas-City, Johnny Lazzio, pupilek Pandergasta i jego polityczny adiutant.

Po śmierci Pandergasta jego koledzy partyjni sfalszowali w 1946 roku miejscowe wybory, lecz zostali przyłapani na gorącym uczynku. Siedemdziesięciu osobom groziła

kompromitacja. Dowody ich winy złożone zostały w kasie ogniowej w piwnicach miejscowego sądu, lecz ani to, ani stalowe drzwi zamykające wejście do piwnic, nie przeszkodziło wykradzeniu kompromitujących dokumentów, które naturalnie zginęły bez śladu.

Gangsterzy należą do najpopularniejszych ludzi w Stanach Zjednoczonych. W dwunastu gazetach wychodzących w Waszyngtonie tematowi gangsterskiemu poświęconych jest od 11 do 33 procent całości numeru. Sprawy sławnego gangstera Al Capone pisma amerykańskie poświęciły 1.587.422 kolumn gazetowych, a w 1947 roku chciano nawet nakręcić film poświęcony życiu i twórczości tego bandyty.

Jeśli nawet film ten nie został zrealizowany — młode pokolenie amerykańskie może z powodzeniem „kształcić się” na przyszłych gangsterów na podstawie popularnych **historiów** tzw. „Comics”, a przede wszystkim na niedościgłych wzorach **made in Hollywood**.

W 1948 roku najbardziej rozchwytywaną książką na amerykańskim rynku księgarskim była książka „Jak bezkarnie popełnić morderstwo”, napisana przez byłego scenarzystę

filmowego Daniela F. Ehera, a wydana w 200.000 egzemplarzy.

Prof. Blumer i Hauser opublikowali ostatnio książkę pt. „Filmy, a przestępczość”, w której omawiają 30 sposobów kradzieży, napaadów i oszustw popularyzowanych przez filmy hollywoodzkie.

Czy można więc dziwić się amerykańskim milionowym cyfrom popełnianych przestępstw, czy można być zaskoczonym faktem prześladowania ludzi o postępowych przekonanach, a pozostawieniem na wolnej stopie zbrodniarzy i morderców? Wielotysięczne zastępy gangsterów są **czołówką amerykańskiej reakcji i posłusznym narzędziem w rękach tych, którym zależy na eksploatacji mas pracujących**. Dziś w Ameryce nie ma kryminalnego podziemia, lecz istnieje jedynie ścisły sojusz klas panujących z elementami przestępczymi, **sojusz kapitalistów z bandytami**.

Gangsterstwo jest ostatnim stadium moralnego rozkładu społeczeństwa kapitalistycznego. Tylko daleko posuniętym moralnym i duchowym rozkładem plutokracji amerykańskiej można sobie wytłumaczyć wielki rozwój „zawodu” gangsterskiego w Stanach Zjednoczonych.

List z Wrocławia

O POWIEŚCI ODCINKOWEJ

(czyli gitara ks. Robaka)

Jadę pociągami — mówi inspektor kulturalno-oświatowy, pan K. — obok mnie siedzi uczeń, jakieś szesnaście lat, i czyta książkę. Państwo wiecie, jak mnie każdy czytający interesuje, więc pytam: „pan czyta jakąś ciekawą książkę?” — „Nie. To Pan Tadeusz, i już drugi raz go czytam — pochwalił się uczeń. — „A można wiedzieć co się panu najwięcej spodobało w Panu Tadeuszu?” — „Uczeń milczał, wreszcie po namyśle rzekł: „no, chyba... gitara księdza Robaka”.

Nie tylko inspektorzy kulturalno-oświatowi mają możliwość raz po raz przekonywać się, jak niewiele zostaje w pamięci słuchacza po wysłuchaniu odczytu, czy przeczytaniu książki.

Jeśli zaczynam od anegdoty dość odległej od tematu głównego, a mianowicie o powieści, ukazującej się w pismach codziennych, to dlatego, że anegdota o gitarze księdza Robaka, zilustruje moją propozycję dotyczącą powieści odcinkowej.

Od czasu, kiedy we wrocławskim „Słowie Polskim” zaczął się druk powieści Dolegi - Mostowicza „Kariera Nikodema Dyźmy”, można było nieraz zauważyć, że jadący w tramwajach zaczęli czytać gazetę od ostatniej strony. Przed kioskiem uczniacy wczytywali się z wypiekami na twarzy w odcinek „Kariery”. Myślę, że gdyby urządzić konkurs czytelników „Słowa” na najlepszą książkę, „Kariera” otrzymałaby pierwsze miejsce.

„Kariera” wydaje mi się książką szczególnie demoralizującą i dającą fałszywy obraz stosunków ludzkich. Przedstawienie świata jako zbiorowiska głupców, których można tak łatwo okpić, jest niemal zaproszeniem do przestępstwa.

Kiedy wspominałam o tym w szerszym kole, obecny przy rozmowie znany krytyk literacki zapewnił mnie, że „Kariera” jest świetną powieścią i że on sam nie opuszcza ani jednego odcinka.

— Nie ma ciekawych polskich powieści — tłumaczy jeden z redaktorów — jak się już znajdzie jakąś nieprzetworzoną, o żywej akcji, pisaną językiem zbliżonym do języka potocznego, to musi się ją brać.

— Tyle hałasu o Nikodema Dyźmę? — zaśmiał się kolega, lubiący kolor popielaty i wyznający zasadę: *surtout point de zèle*, czyli brońcie się przed gorliwością.

— Nie chodzi o Dyźmę, chodzi o czytelników — odparłam.

— Ale jeśli czytelnicy są zadowoleni, to gdzież krzywdą? — żartował kolega.

Pewnie byłabyś odłożyła swoje uwagi do lamusa poniekądnych zamiarów, gdyby nie interwencja życia, która dostarczyła mi drugiej anegdoty i nakłoniła do zabrania głosu.

Na konferencji w szkole rozmawiam z panią Z., wdową po zecerze. Kobieta nie stara jeszcze, ale zmęczona pracą i troskami a może i własną gorliwością, bo jest z tych, co to nie zbęda żartem kogoś, komu trzeba pomóc. Nienajmniej jej troską jest, aby swego jedynaka wyprowadzić na ludzi.

— Zły nie jest — mówi, patrzy bystro i uważnie słucha — ale uśmiecha się, jak go do nauki czy do jakiej roboty zaganiam. Wymądra się wtedy: „ja nie z lenistwa, mam, tylko wiem, że jak człowiek zacznie pracować, to przepadł, już go robota nie wypuści. Musi być jakiś sekret, jakiś sposób na życie.

— Jak to on triumfuje nade mną, kiedy czyta w gazecie powieść, co to teraz dają w odcinkach. Znalazł nareszcie kogoś, kto jadł kołacz bez pracy.

— Wie pani, matka to się wiecznie boi, żeby chłopak z głupoty w jakie nieszczęście nie popadł. Ojciec jego był — kobieta milknie na chwilę i ręce przyciska do zapadłych piersi — „był taki porządny człowiek. A Mietek tylko o tym marzy, żeby KARIERĘ zrobić.

Nie tylko Mietek, myślę, jest to marzenie stare jak świat, chociaż kariery różnych epok są do siebie tak mało podobne jak ich stroje.

Maciej Koliba

JESZCZE JEDEN ZACIĄG

Wykonanie zadań, jakie plan sześciolatni na odcinku życia gospodarczego i kulturalnego stawia przed społeczeństwem — wymaga zwiększenia kadr inteligencji technicznej, wymaga dużej ilości pracowników naukowych i kulturalnych. Rzecz jasna, że szybsze i prawidłowsze wykonanie nakreślonych zadań będzie w dużym stopniu zależało od tego, czy te nowe kadry inteligencji będą pochodziły z klas społecznych, w interesie których dokonuje się przebudowa kraju.

Troską państwa ludowego od pierwszych lat było wprowadzenie do szkół wszystkich stopni jak największej liczby młodzieży pochodzenia robotniczego i chłopskiego. Przypominamy sobie walkę o zmianę składu społecznego młodzieży na wyższych uczelniach, przypominamy sobie wprowadzanie formy szkolenia zawodowego, kursy przygotowawcze, kursy zerowe na wyższych uczelniach. Obecnie dla chłopskiej i robotniczej młodzieży, która z takich czy innych względów nie mogła tymi kanałami być doprowadzona do zdobycia wiedzy i zawodu, otwiera się jeszcze jedna szansa: dwuletni uniwersytecki kurs przygotowawczy. „Towarzystwo Uniwersyteckich Kursów Przygotowawczych” zleciło Związkowi Młodzieży Polskiej przeprowadzenie rekrutacji wśród zdolnej i pozostającej poza szkołą młodzieży chłopskiej i robotniczej. Rekrutacja ta ma się dokonać do 1 kwietnia bieżącego roku. 1.850 zdolnych, młodych ludzi może się dostać na te kursy. Jest to naturalnie początek akcji.

Jakie czynniki w terenie dokonają wytypowania tej młodzieży? Mają się tym zająć partie polityczne, Związek Samopomocy Chłop-

nych epok są do siebie tak mało podobne jak ich stroje.

Robienie kariery jest treścią trzech czwartych powieści obyczajowej, ale nigdy chyba „karierowicz” nie był tak mało wart jak Dyźma. Sekret na „zdobycie świata”, jakiego poszukiwał Mietek, jest prosty: dużo bezczelności, łut szczęścia i gotów. Pracować? Niech to robią inni.

Nasz kolega (lubiący kolor popielaty i wyznający zasadę: *surtout point de zèle*) zapytał mnie kiedyś z niezmiernym rozbawieniem, czy przypadkiem nie marzę o tym, aby w gazetach codziennych drukowano arcydzieła zamiast popularnej a niezawodnej powieści kryminalnej, przyprawionej odpowiednią dozą pornografii.

Nie zdobyłam się na odpowiedź, ale wspomniawszy potem na „gitarę księdza Robaka” rozmyślałam, czy czasem nie można by przemycić zamiast Nikodema Dyźmy Juliana Sorrela czy Rastignaca.

Zwracam się w tym liście do czytelników z zapytaniem, **JAKIEJ PRAGNĘLI- BY „POWIEŚCI ODCINKOWEJ”?** Redakcja „Wieś” z pewnością zamieści wypowiedzi czytelników różnych środowisk. Będzie to pouczająca i pożyteczna ankieta.

skiej. Koła gminne PZPR, SL, czy ZSCh muszą dobrze rozejrzeć się w terenie, by wyłowić najwartościowszy element. Faktem jest niewątpliwym, że na terenie gmin mamy w tej chwili wielu przodowników wiejskich, którzy w pracy społecznej, gospodarczej i kulturalnej wykazują duże uzdolnienia.

W tej grupie przede wszystkim trzeba dokonać wyboru. Zdobyty kapitał wiedzy da tym ludziom jeszcze surowym a garnącym się mimo to do pracy społecznej — narzędzia do opanowania wszystkich zagadnień życia gospodarczego i kulturalnego, jakie są do rozwiązania w terenie, z którego pochodzą. Mogą oni tu wrócić już jako lekarze, agronomowie, oświatowcy. Można przyjąć, że nastawienie kandydatów, wytypowanych przez komórki partyjne czy zarządy ZSCh, przy wyborze kierunku dalszych studiów będzie uwarunkowane potrzebami ich środowisk.

Ten nowy zaciąg młodzieży chłopsko-robotniczej pozwala nam przypuszczać, że żadna zdolna i uspołeczniona jednostka nie przepadnie, a tym samym kapitał społeczny, jakim jest człowiek, zostanie wykorzystany w jego najwłaściwszych funkcjach.

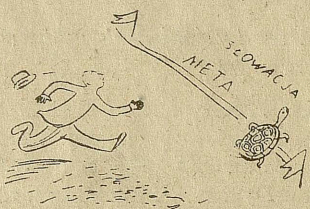
Na przeprowadzenie rekrutacji czasu jest niewiele, pozostaje zaledwie miesiąc. W tym okresie więc przez swoich przedstawicieli musi się dobrze naradzić, kogo spośród siebie wysłać po wiedzę, którą kandydaci mają wzbogacić społeczeństwo i dopomóc mu do przeprowadzenia gospodarczych i kulturalnych planów.

Oczekujemy z terenu informacji, kogo i dla czego wysunięto na kandydata Uniwersyteckich Kursów Przygotowawczych.

O żółciu

Kolega r. m. w poprzednim numerze „Kuchni” (Nr 8) wykropił na 2 szpalty polemikę z artykułem Budreckiego „Liberalizm wobec imperializmu” („Wiś” Nr 7). Dwie szpalty. W post scriptum dodał taką uwagę: „Dla ścisłości zaznaczamy, że w ostatnim (8) nr „Wiś”, który ukazał się po napisaniu powyższego felietonu, zamieszczona została nad wyraz słuszną i rzeczową polemika z artykułem Budreckiego p. Pauliny Czyżowej, całkowicie pokrywająca się z naszym stanowiskiem”. Skoro stanowisko Wasze, kol. r. m., pokrywa się z naszym, to czy nie wystarczyła tylko ta notatka? Po co ma dwoje gadać dwa razy to samo? Przy czym, jak wiadomo, gdy dwoje robi to samo — nie wychodzi to tak samo. A kto to zrobił (tę krytykę Budreckiego) lepiej — popytajcie ludzi. Krótko mówiąc — mało Wam było powitać z uznaniem „nad wyraz słuszną i rzeczową polemikę P. Czyżowej”, należało ją przedrukować — w całości, w cytatach, bodaj streścić.

A co najmniej, Kolego, pisać felieton (byłyby trzy szpalty!) o artykule Budreckiego i odpowiedzi Czyżowej łącznie, bo te dwie wypowiedzi stały się już faktem publicznym, który na tydzień poprzedził wyjście „Kuchni” z Waszą polemiką. Dlatego pytam, co to znaczy, że Wy replikę Czyżowej umieszczacie w numerze „Wiś”, „który — Waszym zdaniem — ukazał się już po napisaniu powyższego (tzn. Waszego) felietonu”? A cóż to kogo obchodzi, kiedy Wyście napisali, czy podyktowali maszyniście. To Wasza prywatna sprawa. I słowo honoru nie będzie ważne, bo nie ma tu dla niego miejsca. Faktem jest, żeście się z drukiem publicznym spóźnili! I to jest prawdą i to jest faktem Wy przestrzegacie młodych krytyków we „Wiś” przed „pośpiechem”, my się odwzajemniły przyjacielskim ostrzeżeniem: Was przed „spóźnianiem się”.



Nie naśladowajcie kol. r. m. kol. Ryszarda Matuszewskiego, który z opisem **jesieni** **czeskiej** zwiłką do **lutego**, który do obejrzenia Siłowacji zbierał się przez lata całe. — Ciągnęło mnie — pisze R. Matuszewski — od dawna. Ścisłe biorąc, od piętnastu lat. Bójcie się Boga, tak nie można! j. a. k.

A może to poskutkuje?

Z zainteresowaniem przeczytałem artykuły J. A. Króla — „A czy angażujecie się w ruch masowy?” („Wiś” Nr 3/49) i E. Nizurkiego — „Słów parę o prowincji” („Wiś” Nr 6/49).

Pobudziły mnie one do skreślenia kilku uwag, którymi chciałbym się podzielić z czytelnikami „Wiś”.

Jasne jest, że dziś, w okresie świadomego budowania socjalizmu w Polsce, zmieniamy organizację kultury i formy konsumpcji dóbr kulturalnych. Jeżeli kol. Gierowski liczy na prywatnego konsumenta w Kielcach czy nawet Krakowie, Łodzi czy Warszawie to znaczy, jeżeli sądzi, iż jego obrazy znajdują jedynie prywatnych odbiorców, to popełnia błąd podstawowy. Czas, kiedy ziemianka arystokracja i bogaty bourgeois sprawowali mecenat nad sztuką — przeminęły. Mógłby mnie ktoś (może nawet kol. Gierowski) spytać, czy istnieją w Polsce, poza „galerią” bogatych burgois, którzy kompletowali dzieła sztuki bądź przez snobizm, bądź dla lokaty kapitału, jacy inni odbiorcy sztuki?

Oczywiście, tacy odbiorcy są, choć zapewne nie mogliby oni pełnić funkcji mecenasów sztuki. Robotnik z huty „Ludwików” lub państwowy urzędnik Prokuratury Generalnej w Kielcach nie może nabywać indywidualnie obrazów. W szeregu wydatków budżetowych pierwsze miejsce zajmują niestety nadal jeszcze: ubranie i wyżywienie. Ale nie o to przecież chodzi. Naczelnym problemem jest upowszechnienie wiedzy o sztukach plastycznych. Obraz u prywatnego posiadacza ogląda rodzina i najbliżsi z towarzyskiego kręgu.

Dlatego w narodowym planie organizowania masowego odbiorcy mamy do czynienia: 1) z mecenatem pełnym (jeżeli można tego sformułowania użyć), 2) mecenatem ten to świetlice, publiczne wystawy stałe i objazdowe, powstające galerie sztuk pięknych i muzea, 3) spełnia on podwójną funkcję: raz, że organizuje masowego odbiorcę, dwa — eliminuje „niezrozumiałość” w sztuce, a więc zmusza malarzy do liczenia się z odbiorcą. Wyznacza niejako temat twórczości, czyli — „wmontowuje” świat artystyczny w zakres potrzeb estetycznych świata pracy.

Kolega Gierowski skarży się na brak zainteresowania pracami młodych artystów. Spróbujcie, Kolego, urządzić taką imprezę: odczyt w sali kinowej z przeżyciami na temat np. realizmu socjalistycznego dla mieszcowskiego świata pracy. Związki Zawodowe chętnie na taką imprezę pójdą. Temat znacie, prawda? Jesteście przecież po dyplomie z A.S.P. I namalujcie wreszcie portret przodownika pracy ze „starego Ludwikowa” zamiast przysłowiowych „aktów kobiecych”, które zalegają Waszą pracownię. A może to poskutkuje? J. B.

Camera obscura

Redaktor działu Camera Obscura w „Odrodzeniu” ma coraz więcej kłopotu, a coraz mniej dowcipu. W ostatnim tygodniku zabrakło mu materiału, jedną szpaletkę wypełnił więc sprytnie jednym rysunkiem we wszyst-

F A K T Y
i
Z D A N I A

kich możliwych pozycjach, na drugiej zaś przedrukował fragment powieści Teodora Goździkiewicza „Lipniacki świat”. Zaznaczył wprawdzie na wstępie, że mamy do czynienia ze „swoistym” stylem i „swoistymi” poglądami autora na „przyczyny niedoli chłopskiej w Polsce przedwzrostowej”, jednak ani rusz w przytoczonym fragmencie nie mogliśmy się dopatrzyć powodu tej ironii. Co prawda, to prawda. Przypuszczamy, że Camera Obscura nie ma na celu jedynie obśmiewania ludzi. Znamy dobrze Goździkiewicza, pisaliśmy o jego ksiązkach niejednokrotnie i chętnie z redaktorem Camery podyskutowalibyśmy na ten temat, jeżeli tylko zna on nasze opinie w tej sprawie. Stanowczo jednak musimy się przeciwstawić metodzie obśmiewania książki, zanim się ona ukaze, przez insynuowanie autorowi poglądów, jakich bynajmniej nie wyraża, na podstawie fragmentu. A tak postępuje „Odrodzenie” z Goździkiewiczem.

Trafnie zaobserwował Goździkiewicz, czy nawet zapamiętał z własnego doświadczenia, że starzy chłopcy uważali za święty obowiązek dzieci pracować w gospodarstwie. Gospodarstwo wiejskie o zacofanych formach i organizacji wymagało pracy od wszystkich członków rodziny. Im więcej dzieci, tym więcej rąk do pracy na swoim albo do obowiązkowego wyrobu u bogatego chłopca. Ojciec Jasia w powieści Goździkiewicza był leniwy, wolał iść nad rzekę niż do roboty. Znamy z literatury o wsi podobne typy. To jednak nie znaczy, że Goździkiewicz oskarża wszystkich chłopów o lenistwo, które ma być właśnie przyczyną „chłopskiej niedoli”. Redaktor Camera Obscura nie umie czytać. Jeżeli nawet styl Goździkiewicza wydaje mu się „osobliwy”. Styl Goździkiewicza jest prawie zawsze poprawny, a już z pewnością najmniej manieryczny ze wszystkich pisarzy z tzw. chłopskiej grupy prozaików. Po przeczytaniu „osobliwej” prozy Goździkiewicza zamieszczonej w Camera Obscura, prozy charakterystycznej jest bardzo prostymi, krótkimi zdaniami i stosunkowo małą ilością przymiotników, sięgamy do noweli Baro w tymże numerze „Odrodzenia”. Aha, teraz wszystko staje się zrozumiałe! Po prostu przedstawiono strony. To opowiadanie Baro pisane stylem bezsprzecznie „osobliwym” miało się znaleźć w Camera Obscura. Oto pierwsze zdania:

„Jeżeli nie ustały śmiechy za szarym płótnem namiotu. Żelazne kółki z przycumowanymi do nich linami, spływającymi z góry ze spopieliałej w mroku wieczoru masy powietrza, prześwietlonej wyciekającym szparami w płótnie żółtym światłem, omijałem ostrożnie”.

I tak dalej na całej kolumnie. Tylko że tutaj nawet redaktor Camera Obscura nie dobiekłyby sensu.

P. Cz.

Wiedza czy odważniki szarlatana



Szanowny Redaktorze! W „nastroju materialistycznym” łatwo się krzewi i etyka niska, egoistyczna, nawet zbrodnia... „Histologia dociera pod mikroskopem do najtajniejszych szczegółów budowy drobnoustrojowej, uczy nas, że kora mózgowa jest siedzibą duszy ludzkiej...”

Znacie te cytaty. Pisaliście niedawno o książce, z której zostały wybrane. Artykuły Wasze i W. Jedlickiego w 6 numerze tyg. „Wiś” z br. wykazały całkowitą bezwartościowość książki profesora historii i filozofii, dr W. Szumowskiego („Filozofia medycyny”) z punktu widzenia wiedzy filozoficznej. Zwrócić się również uwagę na szkodliwą społecznie wymowę tego „vademeccum” dla lekarzy, do którego „pakuje się pseudonaukowe rozważania o określonym reakcyjnym sensie społecznym i politycznym, rozważania, które propagują pewną postawę życiową, polegającą na sceptycznym ustosunkowaniu się do wszystkiego co racjonalne i oparci się — tu już bez żadnego sceptycyzmu — o suttane księdza i odważniki szarlatana”.

Jestem młodym lekarzem. Bezpartyjnym, ale nie apolitycznym. W klerykalnych i „półmikołajczykowskich” kołach mojego prowincjonalnego (nawet nie powiatowego) miasteczka uchodzę za „skrajnie czerwonego”. Wyczuwam nawet pewną niechęć i nieufność ze strony moich kolegów lekarzy. I głos mój też nieufności jeszcze pogłębi. Lecz mnie nie idzie o nieufność, ale o **postawę społeczną moich kolegów - lekarzy**. Nie nieufność, ale

ich postawę chcę zwalczyć. Dlatego Wasze wznowienie dyskusji o organizacji służby zdrowia uważam za nad wyraz konieczne!

Casus Szumowskiego daje sposobność podprzeć Waszą walkę o jak najszybsze uspołecznienie techniki medycyny. Książka Szumowskiego nie powinna być wydana. Umocnia ona postawę reakcyjną niektórych lekarzy. Jeszcze w wielu wypadkach lekarz zachowuje dziś postawę burżuazyjną wobec mas ludowych. Uważa siebie za kapłana tajemnej wiedzy, która nie może być dostępną dla innych, a swój gabinet lekarski za przedsiębiorstwo handlowe. Znam wypadki, w których lekarz występuje jednocześnie jako mag i przedsiębiorca. Znam wypadki: niemal znachorskiego podejścia do leczenia (według prof. Szumowskiego znachorzy i uzdrowicieli odznaczają się szczególnymi własnościami „magnetycznymi”), gdzie pacjentowi każe się wykonywać najrozmaitsze „tajemne” czynności, zginięcie, obracanie się, otwieranie i zamykanie oczu itp. czynności nie mające nic wspólnego z jego chorobą.

Jasne, że takie podejście do ludzi pracy i takie leczenie było możliwe tylko w ustroju kapitalistycznym. Młodzi, postępowi lekarze muszą się dziś włączyć w budownictwo nowej, ludowej, socjalistycznej Polski, jak włączyli się robotnicy, chłopcy, jak włączają się pisarze, artyści. Poprzez uspołecznienie techniki medycyny, przez gruntowną naukę, przyswajanie sobie najnowszych zdobyczy wiedzy i techniki lekarskiej (czy ogół lekarzy zna osiągnięcia nauki radzieckiej np?), przez wspólną walkę z klasą robotniczą i chłopską o poprawę warunków społecznych, które mnożą klasowe choroby (jak Wy piszecie Redaktorze), a nie przez działanie „sub specie aeternitatis” — jak chce prof. Szumowski.

Młody lekarz z Kieleckiego

Nowa gwiazda krytyki literackiej



Na niebie krytyki literackiej zajaśniała nagle nowa gwiazda. Jest nią generał amerykański Clay. Osobliwe są metody krytyki literackiej gen. Clay’a. Przypuśćmy, że jakaś książka nie podoba się panu generałowi. Myślicie, że pisze rozprawę na temat książki, ogłasza artykuł? Gdzie tam! Każe książkę po prostu zniszczyć, spalić. Wzorów mu nie braknie: święta inkwizycja. Mussolini, Hitler, z żyjących Franco...

Taki los spotkał ostatnio, jak podaje „Literaturna Gazeta”, zbiór poezji Majakowskiego, który ukazał się niedawno w Berlinie przełożony na język niemiecki. Co tak rozgniewało p. generała, że wydał rozkaz zniszczenia wszystkich egzemplarzy tego zbioru, znajdujących się w strefie amerykańskiej „okupowanych” Niemiec? Czytajmy tekst, bo pan generał nie przecieży na ten temat nie napisał. W wierszu o Hawannie pt. „Black and White” czytamy:

„W Hawannie
wszystko wyraźnie się dzieli:
Białym dolary,
a czarnym nie.
Dlatego też
Willy
jest czyszcicielem
U Henry Clay and Bock Eltede”.

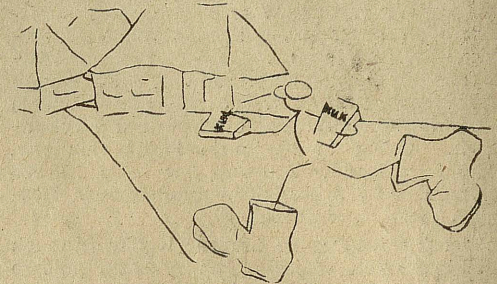
Co się okazuje? Oto ów pan Henry Clay z „Black and White” to nikt inny, tylko — jak stwierdza „Literaturna Gazeta” — „rodzony tatuś pana generała. A pan generał — rodzony synek wielkiego kapitalisty i hurtownika tytoniu, który uciska robotników. (Wiedzieliśmy, Truman, komu powierzyć rząd w „Bizonii”). Co by było, gdyby tak robotnicy niemieccy, czytając wiersze Majakowskiego, zobaczyli wyłaniające się spoza szlif amerykańskiego generała **prawdziwe** oblicze pana Clay’a, kumającego się z niemieckimi właścicielami fabryk, hut, kopalni i banków? Do tego przecież nie można dopuścić. Niech raczej poezja zaginie, niech księgi ogień strawi, niżby robotnicy mieli sobie uświadomić, że pan Clay (et Company) jest jednak generałem kapitału i przyjacielem Kruppów itp. wszystkich, którzy myślą o trzeciej wojnie.

k. m.

Pisarz i listonosz

Dnia 20 lutego odbył się w Łodzi I zjazd listonoszów wiejskich województwa łódzkiego. W rezolucji zjazdowej czytamy m. in.:

„My listonosze wiejscy, rozumiejący w pełni ciężące na nas zadania: obowiązki solenne przyrzekamy, że dokończymy wszystkich naszych sił i starań, by zjednać jak największą ilość prenumeratorów na wsi dla demokratycznej prasy i książki i wykonać z nadwyżką zaplanowaną na rok 1949 pracę. Starać się będziemy o wzięcie jak najaktywniejszego udziału we współzawodnictwie pracy stanowiącym jedynie słuszną drogę dla osiągnięcia dobrobytu całego Narodu Polskiego”.



Po kongresie zjednoczeniowym partii robotniczych pisał Jerzy Borejsza w „Odrodzeniu”, że „awans kulturalny proletariatu i nieodstępnie idące z nim w parze podniesienie poziomu kulturalnego wsi — stwarza nietykalne, niespotykane dotąd perspektywy odbioru twórczości artystycznej”. Jeszcze w pierwszym roku niepodległości, stwierdza Borejsza, przejawiały się tendencje prawicowe, szkodliwe, uważano często, że najpierw należy pracować dla „górných warstw”, które później poniosą kulturę w lud”. Było to oczywiście w pewnych wypadkach nieświadome, w innych celowe przedłużanie tradycji przedwojennej organizacji kultury na wsi. Zapominano jednak, że przed wojną chłop dlatego tylko mało czytał, dlatego rocznie mógł wydawać na książki, gazety i korespondencję zaledwie 1 zł 60 gr (tj. tyle ile wynosiły 3 uczniowskie bilety do kina), a na kształcenie dzieci 16 zł (tj. tyle, ile wynosiła kwartałna penumerała „Wiedzy i Życia” — (Curzytek, „Położenie gospodarstw włościańskich w r. 1938—39”), że klasy posiadające władzę i kapitał celowo utrzymywały wsi w zacofaniu gospodarczym i kulturalnym.

A tymczasem po czterech latach niepodległości powstają dla robotników i chłopów „Kluby Dobrej Książki”, wychodzą tanie książki, rośnie ilość świetlic, punktów bibliotecznych, nakłady pism i tygodników wzrosły w stosunku do przedwojennych czterokrotnie i trzydziestokrotnie! „Niektóre tytuły dzieł klasyków literatury polskiej przewyższają wszystkie dotychczasowe nakłady. „Stara Baśń” Kraszewskiego w jednym tylko wydawnictwie przekroczyła 150 tysięcy, powieści współczesne są wykupywane w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy. Książki naukowe i podręczniki szkolne w setkach tysięcy egzemplarzy, niektóre dzieła klasyków marksizmu przekraczają pół miliona” (J. Borejsza j. w.).

W organizacji kultury na wsi pisarz i listonosz wiejski stoją w jednym szeregu. Od ludzi pióra wymaga się najlepszej prozy, od listonoszy jej rozprawadzenia. I to jest zawarte w rezolucji:

„Uświadomienie ludności wiejskiej przez gazetę i książkę, którą doręcza listonosz wiejski, kładzie trwałe fundamenty dla budowy silnej gospodarki i politycznie Polskiej ludowej, dla budowy podstawy wyższego ustroju Polski Socjalistycznej”.

t. z.

...Jaka wy potraficie stworzyć!

Mamy z początkiem bieżącego roku do zanotowania dwie ważne sprawy na odcinku młodzieżowym.

1. „Służba Polsce” obchodzi w lutym pierwszą rocznicę swego istnienia. Jakich bilans? 24.000 hufców, 1.100.000 młodzieży, w tym 50 proc. chłopskiego pochodzenia. Stoklatki dziesiąt tysięcy młodzieży przy wielkich robotach inwestycyjnych, których pełną realizację przewiduje plan 6-letni. Inaczej mówiąc: chodzi o powstanie setek nowych fabryk, szczególnie we wschodnich dzielnicach Polski, o powołanie do życia nowych miast i ożywienie dziesiątek starych, aby przebudować w rezultacie ustrój gospodarczy państwa i podwoić produkcję przemysłową w stosunku do jej osiągnięć z roku 1948. 250.000 młodzieży z S. P. przy doraźnych pracach nad odbudową fabryk, portów i miast. Ponad 7000 przodowników przeszkolonych w S. P. (w tym 300 traktorzystów), ponad 18.000 młodzieży, przeważnie biedoty wiejskiej, zaawansowanej do szkół zawodowych, do szkół podoficerskich i oficerskich.

2. Związek Młodzieży Polskiej wszedł w nowy etap pracy. Stawia przed sobą szereg nowych zadań. Podkreślamy tu tylko jedno z nich „ZMP” — mówił wicemarszałek Zambrowski — jest z samego swojego charakteru organizacją robotniczo-chłopską. I w naszych warunkach ilość młodzieży chłopskiej w ZMP może osiągnąć 50 proc. i nawet tę cyfrę przekraczać. A tymczasem w ZMP jest 20 proc. młodzieży wiejskiej”. A więc stanowczo za mało. Stąd też wielkie zadanie: włączyć w szereg ZMP całą olbrzymią masę chłopskiej młodzieży, która pod jego kierownictwem kroczyć będzie drogą wielkiego awansu społecznego. Stąd też konieczność oparcia się i na radykalnych tradycjach wciowych. Tradycje takie są. Choćby Zjazd Związku Zawodow. Rolników (Warszawa 12 czerwca 1932 r.) urządzony przez Stronnictwo Chłopskie, w czasie którego grupa wiciarzy domagała się zmian w „Wiciach” — rządu chłopsko-robotniczego, reformy rolnej bez odszkodowania, antywojennej polityki.

Zadanie włączenia młodzieży chłopskiej w ZMP, umasowanie związku (obecnie liczy 570.000 członków) oznacza zmobilizowanie wszystkich młodych sił do pracy nad odbudową i przebudową kraju. Prezydent RP mówił pod adresem młodzieży: „Taka będzie przyszłość Polski, jaką wy potraficie stworzyć”.

D. P.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL.

Redaguje Komitet

Adres Redakcji i Administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98

Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ
REDAKCJA REKOPISÓW NIE ZWRACA

Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, Piotrkowska 133. Telefon 100-98.

Warunki prenumerat: miesięcznie 80.— zł; kwartalnie 240.— zł; półrocznie 480.— zł; rocznie 960.— zł. Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO ŁÓDŹ VII-1080

Drukarnia Nr 4 Sp. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik” — Łódź, Zwirki 3
D-032521